

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

LEGENDA POJEDNANIA

FORMA JOURNAL

<http://rcin.org.pl>

KAZIMIERZ KOSIŃSKI

Legenda Pojednania



WARSZAWA

1919



**INSTYTUT
BADAŃ ETNOLÓGICZNYCH PAN**

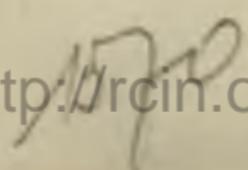
Biblioteka

ul. **Świat** Nr 72

Warszawa

Tel. 26-52-31 w. 42

UL. ŻELAZNA 17, 01-651 WARSZAWA.


<http://rcin.org.pl>

Ciszą śmierci powiało od pól, od
ziemi i wód.

Ołowianość chmur kładła się na
ziemię, zalewając ją mrokiem; cza-
sem tylko zbłąkany przebłysk świat-
ła przedzierał się przez chmury.

Była wiosna o gołych prętach
drzew, o wezbranym poszumie wód,
o postękach wichru i przyziemnym
oddechu ozimin.

W bezruchu trwała ziemia wkoło,
w stężeniu i osiedzeniu się na moc.

Czarna rola, zwilgła i zimna, pa-
trzyła w niebo i wzdychała oparem;
woda w rzece dzwoniła głucho i bra-
ła w siebie ołowianość chmur. Rzeka
wila się skrętem o wysokim brzegu
urwistym, poniżej, nad samą wodą,
świeciły piaski złote.

Dalej, za wodą, na równi rozleg-
łej, usianej kępami sitowiu i krza-

kami jałowcu, w obliczu łąk i pól, zadumanego boru, wydm piaszczystych nawodnych, sterczały mury obronnego klasztoru św. Trójcy.

Przeszedł czas po miejscu tem i śmierć zebrała tu już plony swoje.

11.

Dzień był, w którym złożono Go do grobu, gdy go uczniowie zdjęli z krzyża, a niewiasty namaściły wonnościami.

Dzień był wielkopiątkowy, w którym to dniu uwielbiła ziemia ciszę i powagę śmierci, stężała w niemocy bez jęku.

Dnia tego wichry uderzają o skalną grań kościoła, wyjąc posłusznie nad grobem, a słońce wdziera się przez szyby, rzucając nikły promień na oczy umarłemu.

Pod wieczór tego dnia śmierci śpie-

wa lud pasje swoje nad grobem,
gdy nad polami i wodami snują się
gęste mroki i noc zapada.

Tylko śmierć jedna nieruchoma
słucha melodji świata o Bogu i mę-
ce Jego.

III.

*A zwłóktszy go, włożyli nań płaszcz
szkardatny.*

*I upłóttszy koronę z ciernia, wło-
żyli na głowę jego i trzcinę w pra-
wicę jego. A kłaniając się przed nim,
naigrawali go, mówiąc: Bądź pozdro-
wiony, królu żydowski.*

*A płując nań, wzięli trzcinę i bili
głowę jego.*

*A gdy się z niego naśmiali, zwlekli
go z szaty i oblekli go w odzienie
jego i wiedli go, aby ukrzyżowali.*

*I przyszedli na miejsce, które zowią
Golgota.*

I dali mu pić wino z żółcią zmieszane, a gdy skosztował, nie chciał pić. A ukrzyżowawszy go, rozdzielili odzienie jego, rzuciwszy los, aby się wypełniło, co jest rzeczone u proroka.

IV.

Pomieszały się mgły z nad rzeki z westchnieniem wiatru i przypadły cicho do stóp kościoła, w którym pośrodku leżał na zimnym kamieniu ukrzyżowany.

Mrok czuwał nad nim i cisza, zmieszana z ogniem czerwono-żółtym świec, dopalających się w lichtarzach.

Wiatr pojękiwał cicho w szczelinach drzwi i okien.

Ziemia zwilgła i czarna mówiła o potędze skonania.

Czas, który stał nieruchomy nad ziemią, rozpamiętywał mękę Boga.

V.

A była trzecia godzina i ukrzyżowali go.

I był napis winy jego napisany: Król żydowski.

A z nim ukrzyżowali dwóch łotrów, jednego po prawicy a drugiego po lewicy jego.

I wypełniło się pismo, które mówi: a ze złoczyńcami jest policzony.

A mimo przechodzący bluźnili go, kiwając głowami swemi i mówiąc: Ach, który rozwalasz kościół i we trzech dniach znowu budujesz.

Wybaw siebie samego z krzyża.

A gdy była godzina szоста, stały się ciemności po wszystkiej ziemi aż do dziewiątej godziny.

A o dziewiątej godzinie zawołał Jezus głosem wielkim, mówiąc. Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił.

VI.

Nad zakrętnym brzegiem rzeki ciągnął się bór głęboki, poważny, o sinym mroku między drzewami, który to mrok rozrzedniał się im bliżej było krańca lasu.

Stęzał ów bór szumiący nad mogiłami, których kopce krył w głębi swojej, stare, bo jeszcze z czasów szwedzkich; z tych mogił jedna wysunęła się na skraj lasu.

Z mogiły tej widać było klasztor, rzekę, mokradła, łągi i piaski złociste.

Bór tedy szumiął głucho, a ziemia dalej mówiła o śmierci Boga.

VII.

I zaćmiło się słońce, a zastona kościelna rozdarła się w połę.

A Jezus, zawoławszy głosem wiel-

kim, rzekł: *Ojcze, w ręce twe polecam ducha mojego. A to rzekłszy, skonał.*

A widząc rotmistrz, co się działo, chwalił Boga, mówiąc: prawdziwie ten człowiek był sprawiedliwy.

I wszystka rzesza tych, którzy wspólnie byli przy tym widoku i widzieli, co się działo, wracali się, bijąc piersi swoje.

A oto mąż, imieniem Józef, przyszedł do Piłata i prosił o ciało Jezusowe.

I zdjawszy uwinął prześcieradło, a położył go w grobie wykowanym, w którym jeszcze żaden nie był położony.

A był dzień przygotowania i szabat nastawał.

A przyszedłszy niewiasty, które były z nim przyszły z Galilei, widziały grób i jako było położone ciało jego.

A wróciwszy się, nagotowały wonnych rzeczy i maści, a w szabat dały pokój wedle przykazania.

VIII.

Bór szumiał głucho, woda płynęła cicho, klasztor widniał w oddali, śmierć zamroziła świat i nikt żywy natenczas, ruchem i głosem nie przerwałby martwoty ciszy.

Po długiej, długiej chwili między drzewami w boru jęło nikle połyskiwać światelko, blade i błękitnawe, poruszające się coraz.

Jakby kto niósł kaganek w rękę i szedł z nim między drzewami.

Niekiedy światło gasło poza pniami sosen, by następnie bliżej zabłysnąć.

Zatrzymało się wszystko, nawet wiatr, w zapatrzeniu na to światło w boru.

IX.

Człowiek jakiś szedł lasem, a światło błękitnawe świeciło mu nad głową.

Młodzieniec to był w śnieżnej sukni do ziemi, z kijem pielgrzymim w rękę, a oblicze jaśniało mu zorzą.

Promienność biła odeń, moc i czystość, zaduma szła od niego i cichość.

A nad głową paliło mu się światło blade i przezroczyście, promień oderwany od światła wewnętrznego duszy.

Był to Ziemowit, któremu dwaj aniołowie zapalili duszę.

Który miał uśmiechem wewnętrznym krainę z uśpienia obudzić.

Który od wieków błądził po ziemi polskiej, sennej i bladej, martwej i ołowianej, a dotąd uśmiechu nie wypracował w sobie.

Przysiadł był na mogile teraz, mając rzekę, ruiny, mury, złote piaski i łęgi przed sobą.

Przysiadł i pochylił czoło w zadumie i nic nie mówił.

X.

Siedział Ziemowit bez ruchu na mogile, a cicho było wkoło, jak w krainie zaklętej, gdy myślała ziemia o męce Boga.

Zbliżała się zwolna godzina wieczoru, ziemia dostała głosu i mówiła wichrem.

Gdzieś w oddali odezwały się ujadania psów, cienie ludzkie pojawiły się na drogach.

Pochyliła się nad ziemią noc, w której bielą szata srebrna Ziemowita i świeciło blade światło nad głową jego.

Wtedy Ziemowit, nie bacząc na

białość sukni swojej, upadł był krzyżem na ziemię, tylko światło świeciło nad głową jego, uniósłszy się nieco z nad ziemi.

A ziemia dostała głosu, wichry dostały skrzydeł i łopotały niemi.

Gdy Ziemowit krzyżem leżał, a błędny ognik czuwał nad nim śród nocy, widniejąc zdała słaby, nikły i tajemniczy.

Gdy zaś dusza jego mówiła w sobie:

XI.

„Bóg mi samotność na drodze mojej położył, ale ja światłem płonę i chociaż noc nade mną, we mnie samej niemasz nocy; albowiem nędza ludzka, niedola i zło w promieniu światła mojego bledną i nikną, jak gwiazdy na przedraniu.

Molodja duszy mojej jęki zgłuszy

i do chóru je wmieści, a ból prześwietla się we mnie.

Owionęła mnie miłość i dalekiem jest od ciszy i pogody mojej wszelkie zło i nędza.

XII.

„Ukorzyłam się w modlitwie mojej, w godzinie uciszenia mego, kiedy bezsilna w obliczu zła płakałam.

Łamałam się i stopą na ziemi kładłam, gdy mnie oślepiła krzywda, a Bóg był daleko.

Łzy moje spłynęły żalem, a skarga modlitwą, którą stałam się oto w godzinie ukojenia mego.

Pochyliłam się w smutku moim, aż był mię Bóg zapalił na wysokościach ciszy swojej.

XIII.

„Ale uśmiechu nie mam w sobie.

Stała się tęsknota moja modlitwą cichą, a która modlitwa jest pieśnią moją o miłości i człowieku.

Wiedzie mnie tęsknota moja od wieków pomiędzy ludzi, w których jest miłość i dobra wola.

A tu już Polska mówi przeze mnie i tęskni, bom na tych polach zrodzona, bom jest proch z prochu naszego, kość z kości naszej i tchnienie z tchnienia naszego.

A tu się wszystko z wichrem przyszy i sypie i niesie w oddal i ginie i rozmiata.

XIV.

„Wysłuchałam się w szum polskich drzew, w plusk polskich wód, w tętnienie polskich serc, wpatrzyłam się w ognie polskich chat, błąkałam się na krzyżownicy polskich dróg, gdzie stoi krzyż, a na nim polski umiera

Bóg, płakałam u polskich cmentarzowych wrót, gdzie polskie groby, a nad nimi czuwa polski świt.

XV.

„Stąd tyle śmierci we mnie, krwi i łez.

Jakoż słowami psalmu powiem, że ogarnęły mnie boleści śmierci i strumienie nieprawości zatrwożyły mnie.

Boleści piekielne obtoczyły mnie, uprzedziły mię sidła śmierci;

Która jest jedną i tą samą na wodach i na ziemi;

W przemijaniu chwil, w dzwonienu za umarłych, w szumie drzew i przepływaniu wód.

Wszystko się kończy, wszystko przemija, w tem źródło polskiej mojej tęsknoty“.

XVI.

— Aleście wy nie minęli — usły-

szął nagle głos nad sobą Ziemowit, a kiedy powstał z ziemi, by ujrzeć czyj mu się głos odezwał, dostrzegł był anioła w bieli, jako stał przed nim, ze świecą zapaloną w ręku.

W kościele dawno już pogasty światła i ucichły śpiewy, jakoż i ludzie przeszli już po drogach ku domom swoim i była noc głęboka.

Stał przed Ziemowitem anioł i rzekł:— idź, tam już zebrana Polska czeka uśmiechu twego i pojednania — i stojąc na mogile, powyżej Ziemowita, ukazał palcem na ruiny klasztoru i na kościół romański.

Dwa natenczas płonęły światła w ciemności; nad głową Ziemowita, lekkie, zwiewne, zimne i niebieskawe, i w ręku anioła płomień świecy, żółty, ciepły, rwany przez wiatr, który go jednak zgasić nie mógł, jako że świecę anioł trzymał.

I rzekł Ziemowit: jakoż im dam mój uśmiech życia, kiedy go niema we mnie, jakoż im dam pojednanie bez uśmiechu tego?

Rzekł mu anioł: gdy ich zobaczysz w bezwładzie męki trwających, znajdziesz natenczas uśmiech w sobie. Idź teraz ze mną, masz bowiem rzekę przed sobą do przebycia, jakoż unieść cię muszę nad wodami.

XVII.

Prowadził anioł Ziemowita i oddalały się coraz od głucho szumiącego boru białoście ich szat i dwa płomienie, błękitny i żółty.

A gdy stanęli nad brzegiem urwistym rzeki, który piaskiem sypkim i złotym obrywał się ku wodzie rozlanej po równinie brzegu przeciwnego, ujął był anioł młodzieńca obdarzonego duchem i miłością

za pasy i uniósł się z nim nad wody; zdaleka zaś dwa ognie tylko pomykały się nad wodami, gdy zaś białoście szat ich wydały się jak dwa obłoki białawe, ginące w ciemni nocnej.

Potem szli po namulach i usypiskach nawodnych, po równi i łęgach i doszli do drogi wiodącej do bram klasztoru.

I nie widać było białości ich szat, tylko dwa światła gorejące i migotliwe w otoku mroków nocnych, które tworzyły dwa koła nad płomykami temi, aż zgasło wszystko, gdy ich ruiny zabrały.

XVIII.

Weszli drogą, idącą pod górę, w obręb murów klasztornych.

Legenda pojednania.

2

Na wstępie, niedaleko ode drogi, stała samotna wieża, owiana pustką i ciemnością, przeszli koło niej, oświetliwszy ją na moment światłami swemi.

Potem szli przez obszerny dziedziniec, obramiony ruinami, na którego końcu widniało wązkie przejście ku kościołowi.

Pusto było wszędzie i noc dookoła, przez którą darły się dwa światła, aniola i Ziemowita, w której bieleły dwie ich szaty fałdziste.

Kiedy stanęli u drzwi kościoła, uniósł był anioł powtórnie Ziemowita i opuścił się z nim w podziemia.

Tam paliło się jakieś światło dziwne i ujrzał był Ziemowit mnóstwo zebranych duchów stojących zwartą ławą, — tylko przez środek ich wiodła droga ku ołtarzowi.

Ołtarz była to kamienna mensa pod ścianą i nic więcej; podziemie zaś było niskie, sklepienie półkoliste.

Nie poruszyły się duchy zebrane, gdy weszli anioł z Ziemowitem, stały, jak pierwej, głuche, milczące, owiane ciszą i smutkiem.

Trwały w bezruchu i bezwładzie, z oczyma podanemi na ziemię, z bezradnie opuszczonemi rękoma.

Przepuścili przez środek nawy przybyłych, nie oderwawszy dla nich wzroku swego od ziemi.

I przywiódł anioł Ziemowita przed mensę kamienną, poczem zostawił go w niewiedzy, co ma czynić, sam robiąc się niewidzialnym.

XIX.

Gdy rozejrzał się był Ziemowit gdzie jest, w otoku tajemniczego światła, ujrzał na mense stojący

kielich złoty, w którym paliła się wezbrany płomieniem krew.

A płomień krwi tej, blady i zielonawy czynił twarze ich takż blade, gdy cisza ponad nimi stojąca wiała na wszystkich okropnością śmierci.

Nawet płomień błękitny nad głową Ziemowita przybladł nieco w oświetleniu ognia z kielicha, toż płomień świecy, którą znikający anioł oddał mu do rąk.

Stał tedy bezradnie Ziemowit, jako i wszyscy, nie rzekąc słowa, w zapatrzeniu swoim na palącą się krew i oblicze jego było także blade jak wszystkich.

I wyrzekł był w sobie natenczas: Boże, smutna jest dusza moja, gdy mi uśmiechem moim budzić kazano, a nie wiem sam, co mam czynić, bym snać, jako i oni, w zadumę śmierci

nie popadł, w bezruch bólu i odrętwienia.

To rzekłszy, podszedł do palącej się krwi i zadrżał w sobie, tyle w niej było skwierku i syku, tyle wonności mdłej i ckliwej, aż świeca wypadła mu z rąk i zgasła.

Atoli przemógł się w sobie i podniósł kielich z krwią gorejącą i obrócił się z nim do stojących w bezwładzie męki.

Teraz dopiero dostrzegł, że tam była Polska cała w minionej doli swojej, z panami rady i bracią szlachtą, z królami i rycerzami.

Podniósł był Ziemowit kielich z krwią, a oblicze jego w płomieniu tej krwi gorejącej zajaśniało cudną zjawą, zaś płomyk nad głową jego pomieszał się był z blaskiem bijącym od ognia krwi i stworzył jakby natężenie blasku nad głową

Ziemowita, jako że światło tam było podwójne.

I błogosławił Ziemowit krwią zebranych, ale oni błogosławienia tego nie widzieli.

Wtedy na moment jeden rozpalila się krew w kielichu światłem purpurowem, które oświetliło dokoła twarze i mury, a potem zgasło i nastala ciemność.

I uczuł był Ziemowit, że mu ktoś zabrał kielich z rąk podniesionych, jako że błogosławił niemi.

Wtedy ozwał się głuchy jęk zebranych, a potem cisza zapanowała ponownie.

Stał Ziemowit z twarzą zwróconą do nich, bezradny i smutny, nie wiedział bowiem, że mu się krew wypali w ręku i że mu kielich ktoś odbierze.

A to był anioł przewodnik, który,

choć niewidzialny, czuwał nad Ziemowitem.

I byłaby zupełna ciemność, gdyby nie płomyk nikły nad głową jego, tworzący około niej otok jasny, bladawy.

XX.

Kiedy Ziemowit w smutku swoim bezradnym stał bez ruchu i jakby skamieniał podobnie do wszystkich, którzy tam byli, anioł niewidzialny podał mu świecę zapaloną, którą też podniósł był Ziemowit nieco ku górze, poczem postawił ją na mencie kamiennej, zatknąwszy pomiędzy dwa odstające od siebie kamienie.

Wtedy niewiedzieć skąd i gdzie dały się słyszeć śpiewy i grania, jakby anielskie, tak były czyste, powiewne, lejące się strumieniem.

Nad głowami stojących w odrętwieniu, gdzieś w oddali, za sklepieniami, niosła się muzyka sfer, niewysłowiona i słodka, umęczona i cicha na nieznanym narzędziach muzycznych wygrana.

Były dzwonięcia na harfie w tej melodji, były westchnienia, jakby wiatr za oknami wzdychał lub deszcz o murawę się rozbijał, gdy wichernim zawionie.

Były w tej pieśni łzy, jak u człowieka, który dzieci stracił i dachu nie ma nad głową.

Była tęsknota wielka, jak u człowieka o smutku chrystusowym, była modlitwa, jak żal nad grobem, gdy jesień już nad polami.

A pieśń potężniała i rosła, aż rozległa się jękiem i wołaniem, była w niej męka nieoddana słowami, cierpienie i zawód, była nienawiść

pałaca, jak śmierć, jak grób rozwar-
ta, jak obłąkanie straszna.

Skłębiała się ta pieśń i wiła, aż
skoniała pod sklepieniami.

Wtedy wydały duchy jęk powtór-
ny, który, jak akord, pieśń tę skoń-
czył.

XXI.

Ziemowit zaś w udreće duszy padł
był na ziemię i leżał z wyciągnię-
temi rękoma.

Wtedy rozległo się nowe ciche
uderzanie w struny, a potem nowy
śpiew, ale już nie tak smutny.

Gdy Ziemowit modlił się duszą —
jakoż mi Panie serca ich uweselić,
gdy mi się dusza pochyliła w smut-
ku grania twojego, gdy mi na du-
szę łzy upadły na podobieństwo krop-
el deszczowych.

Westchnęły wtedy poraz trzeci



duchy, ale to było ostatnie już westchnienie przed pojednaniem i radością.

I znowu pieśń w tysiączne rozbiła się kręgi, w tysiączne rozwijała sploty, dzwoniła struną, grzmiała echem, biła skrzydłami i o Boga tron uderzała.

A wtedy wstał Ziemowit i mocny w sobie wyciągnął ręce ku niebu, anioł zaś niewidzialny podał mu z góry kielich nowy z najczystszą krwią Chrystusową.

I paliła się krew ta rubinowem światłem na wysokości, a duchy zapatrzyły się w nią, po raz pierwszy wzrok swój oderwawszy od ziemi.

Ale anioł zabrał kielich złoty niebawem i znów paliła się tylko świeca na mencie i błędny ognik nad Ziemowitem.

Poznał był natenczas Ziemowit

nutę miłości w melodji pieśni, ale miłości nie do jednego człowieka.

I poznał melodję ciszy po łzach nad otchłanią bólu i melodję pokoju dla ludzi dobrej woli,

rozpoznał pieśń ofiary na podobieństwo Chrystusowej, z czego rosła wszechmiłość i wszechpotęga woli, gdy przedtem był jęk niedoli i łzy.

I wstuchiwał się w pieśń zadumą duszy swojej, gdy nastąpiła cisza wielka.

Wtedy anioł niewidzialny zaczął mówić głosem słowa Modlitwy Pańskiej, poczem zgasła świeca na ołtarzu i nawet światło nad głową Ziemiowita zagasło.

I była cisza i mrok, jakby nikogo tam nie było.

Gdy nagle blask, jak od piorunu, przedarł ciemność i oświetlił wszystkich na moment.

Poczuł wtedy Ziemowit, że zbliża się już chwila Zmartwychwstania.

Natenczas rozległ się był głos nad nimi za sklepieniami.

— Bez pamięci o męce przyjdzie zmartwychwstanie dla was, nic z was po zmartwychwstaniu nie będzie, ni waszych łez, ni waszych skarg, ni waszego zła, ni waszego smutku ni żalu.

— Zmartwychwstaniecie bez pamięci nędzy, w niewiedzy o płaczu waszym, w niepamięci nienawiści, całkiem nowi, choć z duchem własnym i dawnym.

— W przemianie tej pojednanie wasze z krwią, która zgasła, przez was wylaną i z krwią Chrystusową, która was oświeciła, bowiem zmartwychwstaniecie w miłości i dobrej woli, by snąć za wami przyszło królestwo ducha na ziemi.

A wtedy ponowna jasność ukazała się nad głowami duchów, ale to była jasność od nich bijąca.

Bowiem nad głową każdego z nich pomykał płomyk blady, jak ongiś, jak kiedyś nad głowami apostołów, gdy Ziemowit miał dwa płomienie nad głową.

I na każdym zpośród zebranych była szata srebrna, gorejąca blaskiem i oblicze każdego świeciło jako słońce.

Wtedy Ziemowit na widok pojednania tego i zmartwychwstania uśmiechem wewnętrznym rozgorzał.

I roztworzyło się niebo nad głowami zebranych, mury ustąpiły z trzaskiem i widniał Bóg z aniołami.

Wtedy okrzyk radości wielkiej wydały duchy, gdy w rozwartem niebie rozbrzmiała nowa pieśń archanielska.

Słysząc w niej było łamanie blach i bicia dzwonów, zawodzenia fletni i głosy archanielskiego śpiewu i tententy jakby tysiąca kopyt.

Każdy głos tej pieśni, każdy jej dźwięk palił się osobnym płomieniem, pieśń ta grała i świeciła razem.

Była w tej pieśni legenda pojednania w zapomnieniu o męce, w miłości i dobrej woli.

WNIEBOWSTĄPIENIE.

I.

Dnia niektórego pod gruszą polną,
obok drogi piaszczystej, na przy-
pagórku zielonym, siedzieli Ajas, syn
Telamona, Orestes, który matkę za-
bił i Edyp, król nieszczęśliwy Kad-
mejów.

Za gruszą leżały pola owiane za-
pachem zbóż, szumem traw, przy-
sypane złotem słońca;

zieleniły się owsy niedojrzałe, żół-
ciły żyta, złociły pszenice, przety-
kane kwieciem modraku, że miały
w sobie coś z wianka u stóp figury
przydrożnej.

Wzdłuż drogi, dalej, szły pachnące
łubiny, za niemi niskie jęczmiona
i proso, a wiatr lekuchny grał na
nich melodję dnia letniego, tonące-
go w jaśni słonecznej.

Za plecami łąków, na szerokim pół-
kręgu nieba widniały bory poważ-

ne, poprzerywane wyrąbem, gdzie-
niegdzie topole, to znowu brzozy.

Pod lasem ciągnął się ugór, na któ-
rym było pięć kopców-mogił, jesz-
cze pogańskich.

II.

I rzekł Orestes: nigdy ja męki mo-
jej nie zapomnę w tej pewności
mojej, że była mi krzywdą.

Z bólu mego i z krzywdy mojej
była zbrodnia moja, a z tej był głos
Erynji.

Ciąłem matkę moją toporem,
w skroń, choć mnie na mleko z piersi
swojej, bym jej zła nie czynił, bła-
gała.

Ona mi ojca zabiła, związawszy
się z gachem, ojca, który był het-
manem i królem; jakoż zemsta była
mi prawem w czynieniu mojem.

Bóg mi rozkazał odjąć światło

oczom matki mojej i powietrze oddechowi jej i bicie sercu jej.

A potem wyły mi Erynje nad duszą, szukając serca mego.

Z miłości była boleść moja, jako żem ojca miłował, a matkę nienawidzieć mi dano.

Los na końcu miecza mego zatknął rozpacz i boleść, a na końcu prawicy mojej zemstę osadził;

a przy boku moim siostrę Elektrę postawił, która wołała, bym matce razów toporem nie skąpił.

A potem wichry w duszy mojej rozwyły się szarugą i deszczem i włosy moje zjeżyły się trwogą.

Niosło mnie w rozpacz i mojej, a strach mnie poganiał i szumiał między włosami.

III.

A gdy Orestes odprawił swoje,

odezwał się był Edyp, król nieszczęśliwy Kadmejów, który rzekł:

— Aleś ty, Orestesie, wiedział, że matkę zabijasz za śmierć ojca twojego.

Mnie przed poczęciem matki mojej skazały bogi, bym ojca zabił, a z matką łoże dzielił.

Kiedy ujrzały oczy moje światło, wynieśli mnie na szczyt Cyteronu, bym zmarniał i zginął, a ojcobójcą nie był.

Związano dziecku nożęta, by nie uciekło zasię, chociaż dni kilka miało zaledwie.

Tak to lękali się doli dla siebie, która we mnie była, a nie wiedzieli snać, że była tylko dla mnie.

I chciała dola zła, bym się na nieszczęście chował.

I zginął Laos z ręki mojej, gdym siebie przed obuchem jego bronił

na rozstaju dróg w niewiedzy nawet, że Laosa zabijam, nie tylko ojca mego.

Wszedłem do łoża matki mojej bez wiedzy synostwa mego.

A gdy już miałem syny i córki z matką moją, przyszła zaraza na miasto, które bóg karał teraz za mnie.

Matka i żona moja, kiedy poznała niedolę swoją, odszedłszy z pośpiechem rozpaczy, powiesiła się na belce cedrowej w komnacie swojej.

Ja, gdy odczepiłem ją od belki, zapinką złotą szaty jej w pośpiechu rozpaczy odebrałem oczom moim światło.

A potem nędzarz i ślepy, gnany odrazą ludzką i bólem, szedłem na szczyt Cyteronu, ten sam, który mnie dziecko, na zgubę moją przyjął, a zguby mi nie dał.

IV.

A gdy powiedział Edyp swoje,
odezwał się był Ajas, syn Telamona.

— W waszem cierpieniu była krzywda i żal, ale była też wielkość,
kiedy mnie śmieszność zgięła dumnego i złamała.

Imię moje dla was znane, słyszano je pod Ilium, jak widziano błysk miecza mojego, jak słyszano poświst kopji mojej o końcu miedzianym.

Wzbierało serce moje mocą, a prawica moja rozmachem i tęgością ramienia.

A komu kopja moja błysnęła przed oczyma, ten światło tracił na wieki, komu zaś miecz mój piorunem się załamał nad głową, ten na ziemię się walił.

Czynów moich wiele było u stóp Iljonu i wiele było chwały, jako mi

Zeus świadkiem i Afene modrooka;
ale wam powiem tylko o rozprawie
mojej z Hektorem, który był synem
Pryama.

v.

Stało się, kiedy Achilles gnuśniał
u czarniawych okrętów, srodze na
Agamemnona zgniewany, że dnia
pewnego zapragnął Zdalacelny do
nocy boje nasze zawiesić.

Spotkał był na rozstaju dróg Ate-
nę groźnooką i zgodzili się, by wy-
zwał Hektor jakiego z Danaów sam
nasam.

Co za natchnieniem boskiem uczy-
nił był syn Pryama, jakoż wstrzy-
mały się wojska i siadły pośrodku
równiny.

Gdy modrooka Atene i Zdalarają-
cy w postaci górnopolotnych jastrzę-
bi na buku nieopodal rosnącym
usiedli.

I wyszedł Hektor i rzekł: sam tu z zastępów, kto ma odwagę, by z boskim walczył Hektorem; gdy mnie pokona kopją miedzianą, ścielącą cień długi, zbroję niech złupi ze mnie, a ciało odda ogniowi, co, jeśli ja go powalę, toż samo uczynię.

Ale nie było tak zrazu pomiędzy Achiwy, ktoby z Hektorem chciał walczyć; potem dziewięciu stanęło:

sam Agamemnon szerokodzierżawny i Odysseus przemyślny i Dymed i ja, i Ajas i Idomeneus, toż Merjon i Eurypilos, toż Toas, syn Adrajmona.

Rzucono losy do hełmu Atrydy, wodza narodów, gdy wojska modliły się głośno i ręce wznosiły do bogów, by zasię na mnie los upadł lub na samego Afydę, króla Mykeny, od złota kapiącej, — a Nestor wstrząsał szyszakiem.

Gdy na mnie los wypadł, ruszyłem w postawie, jak Ares olbrzymi i Hektorowi samemu po piersiach tłukło się serce.

Pawężę miałem, jak wieżę, z miedzi i siedmiu surowców a ósmy był pokład miedziany; kopję o końcu mosiężnym, miecz obosieczny o ciężkiej głowicy, toż pancerz i nagolennice.

I rzekłem był do Hektora: nie myśl, jako nie mają już mężów Achivi, skoro Achilles na łodziach wygiętych spoczywa.

A na to Hektor przemówił olbrzymi w buńczucznym szyszaku: o Telamoński Ajasie, nie chciej mnie przecie doświadczać, jako pacholę bezsilne, albo niewiastę.

Umiem ja robić pawężą i ruma-kami nacierać, umiem piechotą taniec prowadzić Area.

Rzekł i kopiją w pawężę moją ugodził, w pokład miedziany zewnętrzny, co na niej był ósmy z kolei.

Lecz nie zostałem mu dłużny i kopją w Hektora ugodzę, w tarczę sklepioną kulisto, aż kopja pawężę przebiła i przeniknęła przez pancerz; ale się Hektor uchylił.

Hektor w sam środek pawęży ponownie kopją ugodził, a jam też w tarczę, natarłszy, uderzył.

Znowu ją włócznia nawylot przebiła i szyję drasnęła Hektora, aż czarna z niej trysła posoka.

Hektor natenczas kamień zagarnął żylastą prawicą, który na polu się walał szarawy, kanciasty, ogromny; tym mnie w pawężę ugodził, aż miedź zadźwięczała rozgłośnie.

Ja, większą podniósłszy opokę, cisnąłem był także w Hektora, który

się zachwiał i upadł, ale go dźwignął Apollo.

A noc już schodziła na ziemię, o smugach na niebie czerwonych; kiedyśmy jeszcze walczyli, — więc Heroldowie przerwali rozprawę.

A wtedyśmy się darami uczcili, że godniśmy byli przyjaźni, gdyby nie wrogie nam losy.

VI.

A ilem też razy zwyciężał w obliczu murów trojańskich, mnie tego samemu nie wiedzieć.

Błyskała głowica od miecza mojego, gdy ostrze piorunem jaśniało.

Gdym świetny czynami, rozmachem i mocą naokół Iljonu się srożył.

Czyli o świcie, gdy Jutrznia świeciła, czy też o słońca zachodzie, czyli też w skwarne południe.

A teraz słuchajcie, jak marnie był zginął ów Ajas przesławny.

VII.

Złe losy nakoniec Achilla ruszyły, co u czarniawych był drzemał okrętów;

gdy oto druch jego, Patrokles jedyny, padł z ręki przemożnej Hektora.

A potem Achilles był syna Pryama, gdy ruszył do boju powalił i życia pozbawił.

I konie tessalskie włościły Hektora wokoło Iljonu świętego.

Lecz zanim do boju Achilles wyruszył, na prośbę Tetydy Hefajstos wykował dlań zbroję misterną.

VIII.

Tarcz była Achilla o pięciu pokładach, a na niej obrazy wyryte.

Niebo i ziemię bóg na niej wystawił; Wóz się tam toczył i Orjon tam błyszczał.

Jutrznia świeciła różana, wydana boga robotą.

Na niej wystawił bóg moc oceanu złowróbną, jako się fale pieniły i w roztocz wodnistą się niosły.

Tam też umieścił dwa miasta, z nich jedno gody święciło, a narzeczonych wiedli przy blasku ognistych pochodni.

Wkoło drugiego zaś miasta leżały dwa zbrojne zastępy, czuwała nad nimi niezgoda i Kera w płaszczu szkarłatnym z mężów posoki.

Tam też wystawił bóg łąn, falujący kłosami, były na tarczy winnice, były pastwiska o trawie zielonej, a woły i owce się pasły.

Tam też chorowód na tarczy wystawił młodzieńców wraz z dziewi-

cami; czasem płasali ku sobie rzędami, to skrętem się wili węzowym.

Takie to cuda Hefajstos uczynił na tarczy przesławnej Achilla, a w złocie to wykuł i miedzi błyszczącej, podobnie i pancerz świetniejszy od ognia i szyszak złocisty dlań zrobił.

IX.

Gdy umarł Achilles od strzały Parysa, radzili snąć wtedy Atrydzi, kto pierwszy jest po nim, by zbroję tę jemu przyznano.

Wiedzieli żem pierwszy, a jednak Ulisses był zbroję dla siebie otrzymał.

We mnie się dusza złamała i zmogła, choć jęku z niej nikt nie usłyszał.

Czekałem do nocy, bym snąć ich poimał, Atrydów i zdziercę Odyssa.

Lecz złodziejowi pomogła Atene, a mnie na szyderstwo podała; zma-

ciła mi rozum i wzrok mi zmyliła,
żem porznął barany i woły.

Gdy modrooka Atene drżącego
przywiodła Odyssa pod namiot mój
gwoli uciesze.

Kiedy me dzieło dostrzegłem
w przystępie rozumu zdrowego, jak
dziecko płakałem ze wstydu.

I szedłem nad morze, gdzie fala
się pręży wśród wichrów dostojnych
i szumu.

I oto prosiłem Hermesa już tyl-
ko, bym skonał w tej chwili, gdy
śmierć sobie zadam.

I wbiłem miecz ostry w nadmor-
skiem pustkowiu, gdzie trawy szu-
miały spalone od słońca spiekoty.

Śmierć smutna bladawa, o skrzy-
dłach czarniawych uśpiła'mnie wte-
dy po męce.

Nieszczęście pomiata losami czło-
wieka; gdy bóg mu cierpienia w li-

tości nie zada, to drugi je człowiek wymierzy.

x.

I rzekł był Orestes:

Hej, Telamoński Ajasie, snać Mojry tak chciały, by dumę twą w prochu widziano, by słabość bladawa na dnie twojej była wielkości.

A potem rzekł Edyp:

Hej, Telamoński Ajasie, to mądrość jedyna, by wcale nie istnieć.

Czy zechcesz, czy nie chcesz, zła dola cię w nędzy pograży.

A wtedy rzekł Ajas nakoniec:

a niechaj zła dola wichrami rozmiata po duszy, gdy człowiek wgląb zejdzie, gdy moc swą odnajdzie, samemu się bogu odejmie.

XI.

Tak tedy pod gruszą polną, na przypagórku zielonym, pośrodku łąnów i miedz, owianych zapachem zbóż, szumem traw, odzianych w jasność letniego dnia wiedli rozmowę o cierpieniu Ajas, syn Telamona, Orestes, syn wodza narodów, króla Mykeny od złota kapiącej i Edyp, król nieszczęśliwy Kadmejów.

Ajas w zadumie czoło pochylił, ku ziemi skłonił oblicze ponure ośladach wyrytych cierpienia.

Orestes patrzył w dal niespokojnie, jakby miał orszak cór nocy zobaczyć, gdzieś u zakrętu drogi piaszczystej, gdy Edyp, wsparty plecami o gruszę, utonął w zadumie głębokiej.

Trwała nad nimi cisza letniego dnia o sykaniu koników polnych

i głębokim, przyziemnym szumie traw i zbóż.

Nagle Orestes powstał był z miejsca swego i przysłoniwszy oczy swoje dłonią od strony słońca, patrzył czegoś pilnie na zakręcie dalekim drogi.

A potem głosem zdziwienia i niepewności rzekł: wojsko tu idzie, czyli też męże jakowis.

Droga piaszczysta owijała się skrętem wokoło wzgórza obłego, i oto orszak jakiś istotnie wychylał się z za niego na drogę.

XII.

Widać było na drodze w słońcu jakoby mnóstwo słupów ognistych, kiedy orszak wychylał się z błękitnawej roztoczy powietrza i błękit nieba miał nad sobą.

Gdy przysuwali się coraz, poznali

w nich Orestes i Ajas mnóstwo mężów w szaty białawe ubranych.

A wtedy siedli pod gruszą znowu w czekaniu na przyjście ludzi tych sobie nieznanym.

I widzieli teraz, że dwaj mężowie w szat nieskalanej bieli wiedli za sobą idących, a gdy podeszli bliżej dostrzegli, że to byli młodzieńce.

A gdy stanęli przed nimi pod gruszą przybyli, ujrzeni nad ich głowami pomykające płomienie, które w jasności dnia ledwie że były widoczne.

A zaś młodzieńce, jeden nad głową dwa miał płomienie, a drugi jaśniał sobą cały.

I przyszli i stanęli i otoczyli kołem tych, którzy o cierpieniu mówili.

XIII.

Natenczas rzekł był młodzieniec,

który sobą jaśniał, a nie miał płomyka nad głową:

— Znam was, mężowie, w niedoli waszej. Wiem o cierpieniu twojem, Telamoński Ajasio i wiem o krzywdzie twojej, Edypie, i wiem o męce twojej, Orestesie, jako ci serce biło, a ręka drżała, kiedy oczom matki twojej odbierałeś światło i tchnienie piersiom jej i bicie sercu jej, lecz przyszedłem wam zadośćuczynić.

Wiedźcie, jako w cierpieniu spoczywa na dnie cisza, gdy męka cieniem już tylko zatrzyma się nad duszą.

Wiedźcie, że cierpienie ma na dnie błogość—ukojenia, często pod bramą cmentarną wsłuchanego w szum drzew nad grobami.

Wiedźcie, jako w cierpieniu spokój spływa do duszy i wieść rado-

sna o szczęściu, wtedy zaś dusza świętą jest i oczyszczoną w błogości tej.

I przypomnij sobie, Edypie, zejście twoje, pełne tajemnic, jako już cały oczyszczeniem jaśniałeś, będąc jeszcze na ziemi, a już nieziemski.

I ty, Orestesie, przypomnij sobie święto pojednania twojego, kiedy z różgą oliwy i wełną błagałeś ciszy i gdyś ją dała Atene, a córki nocy błogosławieństwem się stały.

Ty jeden tylko, o Telamoński Ajasie, nie znalazłeś oczyszczenia, ale umarłeś w rozpacz.

XIV.

I nie wymierzył tobie czas ukojenia i nie dał sprawiedliwości tobie.

Przeto ci powiem o mężu niektórym i o cierpieniu jego, byś zasię

myślą twoją pojednaniu przeciwny nie był.

Był mąż szczery i prosty, bojący się Boga, odstępujący od złego, a zamieszkał był w ziemi Hus, a zwał się Hiob.

I błogosławił Bóg poczynaniom jego i dał mu siedmiu synów i trzy córki.

A majątność jego była siedem tysięcy owiec i trzy tysiące wielbłądów i pięćset jarzm wołów i pięćset oślic i czeladzi bardzo wiele.

I ucztowali synowie jego i córki wedle domów swoich, każde dnia swojego.

Aż oto stanął był przed obliczem Pana szatan, odpowiadając Bogu, iż zkrążył ziemię i schodził ją, a nie znalazł sprawiedliwego.

Wtedy dopuścił mu Pan odjąć

Hiobowi mienie, by zasię za nie Boga nie chwalił.

I poginęły owce jego, wielbłądy i woły i pomarli synowie i córki jego.

I rzekł był Hiob: Nagom wyszedł z żywota matki mojej, Pan dał; Pan odjął, jako się Panu upodobało—i nie zgrzeszył nic usty swemi przeciwko Bogu.

A wtedy stanął szatan przed oczyma bożemi poraz wtóry i rzekł: skórę za skórę i wszystko co ma człowiek odda za duszę swoją. Ale ściągnij rękę twoją, a dotknij kości jego i ciała, a wtedy ujrzysz, że ci złorzeczyć będzie.

I rzekł był Pan do szatana: Oto w ręce twojej jest, a wszakoż zachowaj duszę jego.

I zaraził szatan męża tego wrzodem bardzo złym od stopy nogi aż

do wierzchu głowy jego, aże był ropę oskrobywał, siedząc na gnoju.

I rzekła mu żona jego: złorzecz Bogu, a umrzyj.

Który rzekł do niej: jako jedna z niewiast szalonych rzekłaś. Jeśliśmy dobra przyjęli z ręki Bożej, ztego czemubyśmy przyjąć nie mieli.

A trzech przyjaciele Jobowi przyszli doń, kiedy na gnoju siedział i nie poznali go i zakrzyknawszy płakali i szaty swoje rozdarli i proch na głowę sypali w żalości i smutku.

I mówili z nim i on był mówił z nimi i rzekł:

Niech zginie dzień, w którymem ujrzał światło i niech się oń Bóg nie zapyta, niech go cień śmierci zaćmi, niech go osiedzie mroka nocna.

I mówił jeszcze: bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi.

Dni moje przeminęły prędzej niżli

tkacz płótno orzyna i wytrawione są bez żadnej nadziei.

I mówił jeszcze: więc nie sfolguję ustom moim i mówić będę w udręczeniu ducha mego, rozmawiać będę z gorzkością duszy mojej, jako zwątpilem i więcej żyć nie będę.

XV.

I zdało się Hiobowi, gdy siedział na gnoju oropiały, że był ponizon bardzo, a on był właśnie wywyższony.

Albowiem szło tu o godność człowieka, żeby nie spoczął duchem przy rzeczach onych, które i zmieniać i muszą się psować.

O duszę jego Bóg walczył z szatanem, gdy jemu wrzody ciało pokryły i gdy na gnoju siedział.

Zaprawdę powiadam wam, że człowiek ów wywyższenia doznał, bo

nie był tylko synem matki swojej i ojca swojego w godzinie utrapienia tego, a był człowiekiem i niczem były bogactwa jego, aż wypełniła się boleść jego do końca i uciszyła w sobie.

I to wam jeszcze powiem, że cierpienie jest płaszczem dostojności, albowiem zwierzę rany czuje i bicie, gdy człowiek cierpi i oczyszcza się, a w tem jest sprawiedliwość i zwycięstwo cierpiących.

Wątpi jednakże dusza i tęskni i smutną jest, kiedy cierpienie jest przy niej, atoli cichą jest i prostą, kiedy cierpienie się wypełni.

A przeto męka spocząć musi na głębinach duszy i stać się z duszą za jedno.

Zrazu w cierpieniu słabość człowieka się widzi, gdy nad nim szaleją moce; zrazu cierpienie wi-

chrzy człowiekiem, kiedy jest nocy
ofiara.

Zaczasem dusza o siebie się py-
ta, lecz przemienioną już jest w siebie.

Tym wszakże biada, nad tymi
mroka nocna i potępienie, którzy
cierpieniu duszę swoją podali w bez-
nadziei; a nie to samo jest bunt
i protest, którym woła dusza u dna
przepaści swojej.

Błogosławionym jest on wichler
duszy, który przeraża spokojnych
i cichych czasu burzy.

XVI.

I mówił jeszcze młodzieniec o obli-
czu anielskim, jako z cierpienia
samego Moc się rodzi na głębinach
duszy i odróżnił ją od mocy tra-
wiącej cierpienia.

I powiadał im wiele o przyszćciu

Chrystusowem i o modlitwie jego w Ogrodzie oliwnym i o śmierci jego na krzyżu i o Zmartwychwstaniu i o Wniebowstąpieniu.

I wskazał był ręką na zebranych dokoła, ludzi, z którymi przyszedł i rzekł:

— Oto są zmartwychwstali, którzy z nad krańca zawrócili otchłani, gdy cierpienie światłem rozgorzało nad nimi, które mroki rozwidnia.

A zmartwychwstali bez wiedzy o sobie z czasu dawnych win i dawnego upadku.

I dostali białych szat na znak niewinności swojej nowej, albowiem męka im łzy wysuszyła, a żal im serca przemienił.

I stoją nowi w niepamięci siebie samych z czasu niedoli i zła, a dusze im rozplonęły światłem, że teraz ku wniebowstąpieniu idą.

Jakoż i wy pójdziecie z nami, by
wziąć zadośćuczynienie wasze.

XVII.

To rzekłszy, wiódł ich młodzie-
niec jasny poprzez miedzę polną,
między łanami żyta.

A że miedza była wązka, więc
wyciągnęli się w długi sznur i szli
po jednym.

I uderzały kłosa o biodra ich,
a niektórzy z nich rwali kłosa i jedli.

I szeleściły trawy pod stopami
ich i czepiały się szat ich o nieska-
lanej bieli.

Z boku łanu żytniego po prawi-
cy ich zachodziło słońce, więc były
kłosa w majestacie purpury, jak we
krwi potu ludzkiego.

I nie było dalej do zajścia słoń-
ca, jak tylko jedna godzina; i obla-

ło słońce czerwienią i złotem ramiona ich nad łanami żyta.

I przycichała już jasność dnia, przeto jak gwiazdy na niebie rozłociły się płomyki nad ich głowami;

gdy ponad nimi i przed nimi widniała roztocz błękitnawa powietrza, gdy nad głowami ich zwolna ciemniało niebo.

XVIII.

A za łanami żyta ciągnął się z jednej strony łan pszenicy, a z drugiej owsa.

Gdy łan pszeniczny po prawicy ich ciągnął się wzdłuż bez przerwy, w łan owsiany wrzynał się gaik brzozowy maleńki.

I przeszli miedzą około gaju tego, gdy Orestes poczuł przy nim lęk, jak czasu ucieczki swojej przed córami nocy.

A niezmożona jakowaś moc skierowała kroki jego do wnętrza gaju, gdy inni poszli za przewodem młodzieńca.

I ujrzał był Orestes groby zapadłe w gaju tym, groby dawne z czasu zarazy morowej z przed lat.

Brzozy szumiały cicho i stały w różności swojej przy zachodzącym słońcu.

I ujrzał w gaju tym Orestes rosnące krzewię żarnowcu i gałęzie suche, na ziemi leżące i wilcze jagody, tudzież leszczynę o liściu robaczkliwym i chorem.

Wtedy zamyślił się nad ciszą śmierci i zrozumiał, co to jest cisza śmierci, gdy naokoło pełno było sykania i szumu lekkiego.

I przyszedł wiatr do Orestesa i woń łubinu położył mu u stóp.

Wtedy zrozumiał, że potrzebnem

jest człowiekowi pojednanie się ze śmiercią i widział piękno uciszenia tego i czuł też szczęście jego i radość.

A wtenczas mocny w sobie i cichy wyszedł z gaju i za innymi poszedł.

XIX.

Zaś młodzieniec wiódł był rzeszę swoją dalej, aż przystanęli na ągorze pod lasem, gdzie było pięć kopców pogańskich, a najwyższy pośrodku.

I podeszli doń i ustawiła się rzesza w dwa półkola, jakoby chór w tragedji, a pośrodku był kopiec.

Poniżej u stóp kurhanu przysiedli Ajas, Orestes i Edyp, gdy młodzieńce dwaj weszli na mogiłę.

Natenczas rzekł młodzieniec, który ich wiódł: tu wniebowstąpienie

wasze — a oni wszyscy spojrzeli ku górze.

Ale on rzekł był znowu: nie spoglądajcie ku niebu, albowiem nie tamtym pójdziecie szlakiem.

Nie jak Chrystus wniebowstąpicie, nie ku gwiazdom i chmurom pójdziecie, ale do ziemi w kolisku świętem.

To mówiąc, zszedł z mogiły i obszedł wszystkich i nachyliwszy się, obchodząc, koło wielkie, w którym byli wszyscy, palcem na ziemi znaczył.

A pod wskazaniem palca jego płomień wychodził z ziemi, aż się pierścieniem koło ogniste zawarło, gdy nad głowami zebranych błękitne pomykały płomienie, a szaty ich białością jaśniały.

I rzekł młodzieniec: rozkopcie mogiłę tę, a na jej głębi drzwi mosiężne znajdziecie; wtedy wejdziecie

do podziemia wszyscy, prócz mnie i Ziemowita; to mówiąc, wskazał był na młodzieńca o dwóch płomieniach nad głową.

I rzekł był jeszcze: nad Acheronu staniecie wodami i rozwidnicie noc ogniami waszemi.

Ale zaprawdę powiadam wam, niechby jednego z was brakło natenczas, kiedy wyjdziecie poza szlaki śmierci, niema już dla was do nieba wstąpienia.

Jeden musi pamiętać o drugim, albowiem wszyscy tylko lub nikt z was do raju wejdziecie.

Wtedy przywołał bliżej Ajasa i Edypa i rzekł był do nich: stójcie tu czasu kopania, gdyż teraz będzie zadośćuczynienie wasze.

XX.

Znaleziono też w polu łopatę i po-

dano Ziemowitowi, a on kopać zaczął, gdy rzesza stała półkolem; zaś młodzieniec jasny stał poniżej mogiły, pośrodku, a przy nim Ajas, Orestes i Edyp.

Wkoło pełzały ognie koliskiem wielkiem, a nad głowami wszystkich pomykały płomienie.

Kiedy Ziemowit odwałął ziemię uderzył nagle o coś dźwięcznego, a młodzieniec jasny położył palec na ustach na znak wielkiego milczenia.

Poczem wydobył Ziemowit tarczę złotą z wnętrzości ziemi i położył ją na murawie, a błysk cudowny uderzył oczy zebranych.

Nagle Ajas z radością wielką rzucił się naprzód, wołając—toć to jest tarcza Achillesa, poczem upadł na nią w radości wielkiej.

Natenczas Edyp podniósł był pra-

wicę swoją ruchem szybkim ku oczom, które odzyskały światło, gdy padł na nie połysk słońca od tarczy złotej odbity.

Wtedy krzyk radosny Edypa zlał się w harmonję z krzykiem Ajasowym; a właśnie zaszło było słońce.

Natenczas rzesza, jak chór w tragedji, mówiła razem o zmartwychwstaniu przez miłość i dobrą wolę, gdy Ziemowit kopał dalej w utrudzeniu wielkiem.

I dobywał głązy z mogiły, które koliskiem tam przed wiekami ułożono.

XXI.

Noc już była zapadła, księżyc płynął z za lasu i oprószył światłem swoim rzeszę i pola.

A Ziemowit kopał jeszcze, gdy chór nieustannie śpiewał pieśni dzięk-

czynne, gdy koło ogniste pełzało po ziemi, gdy Ajas, przepojony radością, cisnął do siebie tarcz Achillesa, gdy Edyp radość czuł w łonie i dziękczynienie, a Orestes spokój i ciszę.

Spłynęła miłość na czarnych skrzydłach nocy przy blasku księżycy a była tamże z nimi.

Ziemowit kopał dalej, aż cały się pogрузzył w mogile, którą światłem swoim oświetlał i dokopał się wreszcie wrót mosiężnych i otworzył je ze zgrzytem.

Wtedy wionęło na nich chłodem podziemia, ale w ciepłe radości wielkiej nie czuli chłodu tego.

I stanęli, jako pierwsi, Edyp, Orestes i Ajas, a za nimi zebrani.

Dwaj tylko młodzieńcy stanęli na uboczu, gdy Ajas z tarczą na ramieniu sprawiał już w szyki zebranych.

I wydał głos i zstąpili za nim wszyscy w podziemiu.

A wtedy gasły powoli światła, w miarę, jak w ziemię się grążyli, jeden po drugim.

Aż pozostali tylko młodzieńce i święte kolisko wielkie, pełzające ogniami.

XXII.

Wtedy weszli na rozkopaną mogiłę i stali na niej w blasku miesiąca, jako dwa słupy ogniste.

Osypało ich prochem światło księżyca, w którym jaśniały pola i czerniły się bory, gdy cienie tajemnicze pełzały po ziemi.

Szumiały wkoło pola melodją nocy lipcowej, a niebo jarzyło się od gwiazd.

Poruszały się trawy spalone w spiekocie słońca, oddychały wonnością nocy.

Kłoniły się dziewanny, bylica i łopiany, a także osty na miedzach.

Wzdychała ziemia poszumem swoim w skupieniu i modlitwie.

Stożki są otwierane, białe i
Główny 4 kolorowy, niebieski
Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku
Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku

Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku
Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku
Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku
Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku
Wszystkie są w jednym kro-
ku w kierunku i w kierunku

PIEŚŃ ŁABĘDZIA

WISSE WISSE

W godzinie przedwieczornej dnia niektórego szli drogą polną dwaj młodzieńce.

Na drodze widne były koleiny wozów i ślady kopytkońskich, a przechodziło właśnie stado krów, owiane obłokiem kurzu złotego.

Na przydrózkach, murawą pokrytych, rosły trawy polne, mlecze, łopiany i osty, tudzież ognicha i lebioda, a stały cicho w spokoju przedwieczera, w słońcu.

A właśnie pora była żniw i schodzili już ludzie z pola.

O kilka staj przed nimi, przed idącymi młodzieńcami, widniał las sosnowy, od którego ciągnęło szumem i zadumą, biło chłodem na oblicza, bronzowiły się pnie w pozłocie słońca.

Zbliżyli się ku lasowi młodzieńce

i pograżyli się w ciemności jego, idąc drożyną leśną chłodną i mroczną, osypaną igliwim zeschem.

Szaty mieli białe na sobie, w rękach kije pielgrzymie, na ramionach sakwy podróżne.

Wiało od nich spokojem i ciszą, które nie wiedzą o melancholji życia, biło światłem od szat ich i lic, i widnieli długo na drodze onej leśnej aż ich czasasem mrok i skupiające się za nimi pnie zabrały.

II.

Wyszli potem młodzieńce obaj na porębę o mnóstwie ściętych drzew sosnowych, a potem znowu utonęli w boru.

I doszli do zielonej polany, kędy rósł dąb olbrzymi, od tysiąca lat w ziemi osiadły.

I przystanęli pod dębem onym i przysiedli w cieniu jego.

A wtedy rzekł był młodzieniec jeden: odtąd samotny pójdiesz drogą twoją i nie spotka cię zła przygoda czasu wędrówki, skoro ciemności rozwidniesz.

I rzekł był jeszcze: nie wiesz kto jestem, a jam jest anioł jeden piastowy, który czasu swego duchem cię opatrzyłem, gdyś był u ojca kłodzieja.

A teraz dam ci koronę piastową i odejdę sam.

Wtedy spytał młodzieniec drugi, mający zorzę na obliczu, a dwa płomienie bladawe o błękitnawym otoku nad głową: dwóch was do chaty ojca mojego przyszło, a teraz jeden jesteś.

I rzekł mu anioł: czekaj wskazania mego, gdy chwila nie nadeszła jeszcze.

To rzekłszy, ukrył się był w wną-

trzu dębu, które, wiekami rozdarte, świeciło próchnem swoim i pilnie tam czegoś szukał.

Noc przysiadła już na murawie i liściach z powagą cichą, rozpałwszy popierwej gwiazdy, które jarzyły się w górze nad koroną dębowa.

Gdy ze wszystkich stron ciągnęły z boru oddechy wieczornego wiatru, ciche, przytulające się do ziemi.

A wzdychaniom wiatru tego odpowiadało głosem wieków minionych liście dębu na polanie.

Wtedy wyszedł anioł z ukrycia swego i stało się jaśniej wkoło odszaty i osoby jego.

A niósł przed sobą narącze jakieś, które położył na murawie; w czarną owionione materję, która zetlała już od starości.

I odwinął ją i ukazał się oczom

ich pancerz gdzieniegdzie rdzaprzejadły, która plamą czarną widniała w obliczu gwiazd na niebie.

A był ów pancerz stalony z łuską srebrną i podniósł go anioł od ziemi, a wtedy zeń korona złota o liściach liljowych i kamieniach drogich wypadła i potoczyła się.

I wziął ją anioł do rąk i położył na murawie pomiędzy sobą a Ziemowitem, i rozwidniło się pod dębem więcej, gdy zorza z błysku uniosła się z nad murawy.

I rzekł był anioł: weźmiesz koronę tę, ale na czoło jej nie włożysz i wyjdiesz za granicę boru.

I uważał będziesz dnia trzeciego, a dojdiesz do krzyżownicy dróg, gdzie stoisamotny krzyż z Chrystusem cierpiącym, tam się dopełni przeznaczenie twoje.

Szedł będziesz w trudzie wielkim

do miejsca tego; poznasz je po ogniu na rozstaju dróg; tam spotkasz tę, która wypełni przeznaczenie twoje; tej jest korona a nie twoja.

I nie będziesz jej o nic pytał, położysz jej i sobie palec milczenia na ustach.

III.

A skoro to powiedział anioł, odszedł potem i Ziemowit został sam w mroku rozrosłego dębu.

A że noc była, czuwał do świtu i tylko otok jasny widniał nad nim śród nocy i nad koroną złotą, na ziemi leżącą, gdy on na murawie spoczywał.

A kiedy wzeszła jutrzienka i si-
 ność nieba jęła się przecierać od
 wschodu, gdy powiało chłodem przed-
 rannym na trawy rosą pokryte, ru-
 szył w swoją drogę Ziemowit.

Koronę złotą do sakwy włożył
a pancerz na siebie zadział pod bia-
łą szatę swoją.

W rękę wziął kij podróżny i spoj-
rzawszy na gwiazdy, bielejące w świ-
cie, ruszył przed siebie.

A potem wyszedł z granic boru
i widział, jako się jasność kładła po-
nocna na pola przy nieskłóconej
niczem ciszy.

Wtedy naprzelaj ruszył do bitego
gościńca i szedł przed siebie.

Niekiedy przysiadł było i odpo-
czawszy nieco, ruszał dalej.

A gdy nadeszła noc, pierwsza od
wyjścia jego, stanął u samotnych
bram cmentarza i spojrzawszy na
niebo, które paliło się od zórz wie-
czornych i gwiazd, przysiadł pod mu-
rem na wyniosłości jakiejś.

IV.

Noc stała cicha nad mogiłami, które
czuwały w czasie przelatującym bez
echa.

I była jedność pomiędzy czasem
a smutkiem na mogiłach.

Ziemia oddechem traw legendę
wspomnień opowiadała grobom:

jaki to świat odrębny pod każdą
spoczął mogiłą,

jaki to kraj niepodzielny wspom-
nień pod każdą grudą ukrył się
mogiłą,

których już nikt do życia nie po-
woła,

które umarły na wieki wraz z tymi,
którzy spoczęli w mogile,

które, jak nie błękitna, wiją się od
umarłych do żywych, którzy umarły-
mi się staną.

A wtedy śmiercią bladą powiało

nad grobami i była wieczność w nich,
w ziemi, w szumie traw, w ciszy
nocnej i gwiazdach.

Wtedy pojawił Ziemowit treść tę-
sknoty ludzkiej i smutku, które są
wieczne pośrodku życia,

a życie mija w czasie, jako ta wo-
da w strumieniu.

v.

O świcie ruszył dalej i czuł, jak
mu się dusza w rosie kąpała nocnej,
że upoiło go spokojem i ciszą.

Wtedy, pod koniec dnia drugiego,
gdy zachodziło słońce, stanął był
u wrót kościoła, w którym wieki
miały mieszkanie w starości jego.

A miał ów kościół wieżę wyniosłą,
okrągłą, o dachu spiczastym, a cały
był z ciosowego kamienia.

I miał dwie nawy, różne w sobie,

jako że w innych wiekach inni je ludzie wzniesli.

A nawa pierwsza była romańska, także i chór o niskiem sklepieniu i było tam ciszy wiele i powagi wieków.

Szumiały lipy wyniosłe pod wieżą tą, a wierzchołki ich były suche i świeciły w słońcu, jak z wieków korona.

Albowiem niejedno pokolenie minęło i przeszło, a liście ich szumiały i wiek temu i dwa i trzy i więcej.

Wszedł był Ziemowit do kościoła tego i stanął pod chórem, a wtedy ujrzał drzwi żelazne w oddrzwiach kamiennych, niskie, na wieżę wiodące.

A kiedy wszedł na schody i poczuł zimno wieków, natenczas światło nikłe z nad głowy jego oświeciło mu ciemności.

I wchodził zwolna po schodach kamiennych, wyszczerbionych i krętych na szczyt, gdzie były okna cztery, wąskie i małe, skąd ludzie bronili się przed wiekami.

VI.

Stało się tak pod koniec dnia drugiego od wyjścia Ziemowita z boru i zachodziło właśnie słońce.

I stał Ziemowit przy oknie zachodniem wieży i widział ziemię podaną onej gasnącej jaśni.

Widział też czerwień chmur w obliczu krwi na słońcu i widział brzegi ich obramione złotem.

Stał tak Ziemowit po samo zajście słońca, które było jak wczoraj, ongiś i przed wiekami i uczuł jedność czasu w tem przemijaniu pokoleń ludzkich, uczuł tożsamość człowieka na prze-

strzeni lat,—wtedy odwrócił się ku wschodowi.

Widział, jako pełzały w szarzy wieczornej mroki po ziemi, jak wychylała się noc ostrożnie i tajemniczo.

Widział rzekę, jak rozciągniętą wstęgę srebrną, wijącą się po ugorze, gdy brała woda jej różaność z chmur po zachodzie.

Widział ugór, a za nim las zrzedziały i widział drogę na ugorze, jak przysuwała się i oddalała od brzegów rzeki tej.

A za tym lasem, wbok cokolwiek, widniał las drugi, poważny i gęsty bór, w których wierzchołki sosen dwóch sterczały ponad inne, widniejąc zdaleka.

A za tym lasem, gdzieś daleko, widać było inne bory ciemne na krańcu nieba, które zlewały się z ciemnością nocy.

VII.

I widział tam noc zupełną, jak prze-
wałąła się nad polami i gniotła je
mrokiem.

A potem księżyc z za boru wypły-
nął, jakby paliły się drzewa, i po-
łożył się poświata złotą na ziemi.

Słyszał Ziemowit ciszę wielką
w złotem świetle jego, w którym wi-
dział gościniec z boku, wysadzony to-
polami; widział też w ciszy księży-
cowej górę zamkową o fosie dar-
nistej.

Aż utonął w ciszy, a blade światło
księżycy dostało się doń oknem wą-
zkiem i padło mu na pierś i lice.

A z dołu widać było płomyk z nad
głowy jego w oknie wieży i trochę
ramion białych.

VIII.

Widział Ziemowit przemiany no-

cne, jak ziemia mgieł dostała przed
świtem, a niebo zórz ognistych.

Patrzył w gwiazdy, czuł świeżość
nocy, od której zwilgła mu szata;
słyszał, jak lipy szumieć zaczęły
w przedświcie,

widział, jak siność wczesna prze-
szła nad ziemią, mówiąc o sobie chło-
dem i pianiem kurów ponocnych
a gwiazdy gasnąć zaczęły.

Aż przyszała godzina ostatnia przed
wschodem słońca, gdy już głosiło
ptactwo, wtedy modlił się był du-
szą swoją.

IX.

Położyło mu się serce na roztoczy
światła i spoczęło na posłaniu z mgieł.

Poleciały myśli jego na rannych
szumach drzew i spoczęły na tra-
wach, mokrych od rosy.

Uniósł się był duszą swoją i usiadł
na czerwieni zórz.

Widział wtedy i czuł, jako jest jedność między człowiekiem i ziemią.

Słyszał serce swoje w dzwonieniu wód i widział siebie w gwiazdach i czuł siebie w źdźble każdym traw.

I mówił sobie, że on i ziemia jego— to jedno.

A potem widział, jak wstało słońce, poczem zszedłszy na dół, dalej poszedł.

x.

A dnia trzeciego od wyjścia Ziemowita z boru stało się, jak mu powiedział anioł, że doszedł do krzyżownicy dróg, gdzie był samotny krzyż, a na nim Chrystus cierpiący.

Droga pod krzyżem zniżala się ku dołowi i wystawał był przydrózek na miejscu tem, a na przydrózku ujrzał Ziemowit ognisko i przy niem tę, o której mu powiadano.

Siedziała ku ogniewi podana, utonawszy cała w myślach swoich.

Szata była na niej szczodra, na ramionach i piersiach oblana ognia posoką; toż lico jej było w ogniu.

Uderzyła go jasność zwiewna włosów jej, upodobał sobie w postaci jej o zjawie anielskiej.

Stał niewidziany przez nią, ale i ona czuła go snąć przy sobie w tęsknocie swojej, gdy nie dostrzegła, że ogień przygasł i nie dodała mu strawy, będąc w zadumie.

A wtedy Ziemowit zbliżył się ku niej, zaszedłszy nieco od boku i włożył jej koronę, którą wyjął z sakwy swojej.

Wtedy podniosła nań oczy swe, pełne zadumy cichej, w których była radości i wstała i podeszła doń i rzekła, gdy on w niepewności nie wiedział, co mówić miał i czynić:

potrójne minęło zorze, jak strze-
gę ognia tego w czekaniu na przyjs-
cie twoje, a już niedługo będę z tobą:
po trzecim zajściu słońca pójdę
i zostaniesz sam w miłowaniu do
końca, lecz dam ci moc, a już cię
nie opuści.

.
.

XI.

I przyszli Ziemowit z dziewicą nad
brzeg wody wielkiej, rozlanej, o brze-
gach niskich, darnią pokrytych.

Stało się tak pod koniec dnia pierw-
szego od wyjścia ich z pod samo-
tnego krzyża u krzyżownicy dróg.

I przyszli teraz nad brzeg wody
wielkiej o brzegach pokrytych dar-
nią i obrośniętych trzcina nawodną.

A na powierzchni wody widniały
liście i kwiaty lilji, tudzież pełno

było w powietrzu głosów ptactwa wodnego.

Pośrodku zaś wody tej była wyspa, a na niej ruiny czarne w starości swojej.

Było tam rumowisko wielkie, smutne w bezładzie swoim i ciszy.

Sykały tam świerszcze z powagą o śmierci i końcu; rosły tam kwiaty dziewanny między głazami.

Pod wieżą jedną brzozy trzy rosły, a nieopodal świerczek młody stał nad głębiną wodną.

I znalazł Ziemowit łódź w szuwarach i przepłynęli na wyspę tę i usiedli pośrodku ruin.

I nadpłynęła noc na falach wód i cicha spoczęła przy nich

Wtedy Ziemowit rzekł: Dzisiaj pochyłisz się i złamiesz wobec przemożnej siły, której nie będzie jutro, która śmiechowi podobną będzie;

wszystko się kończy i dola i niedola i moc i przemoc.

Odpowiadając, rzekła dziewica:—nie wszystkie moce koniec swój wypisany mają.

— Ukochaniem świadczy się wielkom, gdy nienawiścią śmierci i końcu.

Mówiła też o mocach, które z miłości idą, że kocha człowiek ziemię swoją i duszę.

I widział Ziemowit jedność w miłości, że jednoczy się człowiek z umiłowaniem swoim.

XII.

O wschodzie słońca, które czerwienią kładło się na wodach i głazach, wstali, by dalej poszli.

A gdy podali się z wyniosłości brzegu ku wodzie i czekającej na nich łodzi, ujrzeli z za skrętu wyspy płynące łabędzie w bieli swojej, zaróżowione od słońca.

I przystanęli i patrzyli na nie,
a oblicza ich jaśniały zorzą odbitą
od słońca i wód.

Gdy podpłynęły ku nim łabędzie,
ujrzeli, że jeden z nich w dostoj-
ności swojej całej oparł się był skrzy-
dłami o wodę, a szyję podał naprzód
w niewysłowionem pięknie.

A pozostałe zatrzymały się na wo-
dzie opodal nieco, różowe całe
o wschodzie.

Stało się wtedy, że łabędź pierw-
szy wydał z siebie głos, a potem
zaczął dziwny, pełen tęsknoty i me-
lancholji, śpiew.

Cisza była w śpiewie jego i smu-
tek, a każdy dźwięk tej pieśni w łzę
się zamieniał i z cichym pluskiem
upadał na wodę.

Placz był w pieśni łabędzia, jak
pożegnanie łzami i szmer był, jak
kiedy deszcz upada na trawy.

Płakała pieśń na pożegnanie snom,
które się nie spełniły, na powitanie
łzom po dniach zawodu.

Stał Ziemowit z dziewicą nad
brzegiem w bezruchu zasłuchania
swego, gdy łabędź, który śpiewał,
podał się naprzód skrzydłami i do-
płynął do brzegu i wyszedł z wody.

A dziewica podeszła ku niemu
i ujawszy głowę jego przytuliła ją
do łona.

Gdy on jął wstrząsać skrzydłami
i położył je na murawie długie i roz-
łożyste, a dziób mu sinieć zaczął,
aż stał się czarny, jak przeddzióbie.

I pochylił głowę swoją ku łonu
dziewicy, która klęczała przy nim
i umarł cicho po pieśni przed sko-
naniem.

Gdy inne łabędzie, oblane złotem
słońca, odpłynęły na wody.

Stali nad nieżywym Ziemowit

i dziewczica i mijał czas nad nimi w bezruchu ich i uciszeniu wielkiem.

XIII.

I pogrzebali łabędzia umarłego na wyspie samotnej pod świerkiem młodym, nad głębinami wód, a potem poszli w drogę swoją, by wypełniło się przeznaczenie Ziemowita, który rzekł nad mogiłą łabędzia:

— mój tu pozostał żal i uciszenie moje, niechaj im fale dzwonią, niechaj im wzdycha wiatr wspomnieniem pośrodku ruin.

I widzieli dnia drugiego od wyjścia swego chaty oblane słońcem południa, które drzemały w ciszy i skupieniu światła.

I przystawali w cieniu drzew i nad brzegami rzek, by chłodem ich owiało.

Tak minął dzień, a po nim noc, a oni znowu szli.

XIV.

A dnia trzeciego przyszli na miejsce puste, pośrodku pastwisk i łąk, szumiących łąnów i rzysk.

I widać było na miejscu tem górę wielką, grodzisko dawne pogańskie.

Od południa świeciła góra odkosem z piasku złotego, zresztą pokryta była darnią.

Kiedy weszli na górę tę, rzekła dziewica: tu jest rozstanie nasze, odtąd sam pójdiesz pomiędzy ludzi i nie będziesz duchem tylko, który ani je, ani śpi, lecz będziesz jako człowiek każdy.

Noc pochyliła już skronie swoje ku ziemi i migotały światła w dali od domów ludzkich.

I rzekła jeszcze nieznaną Ziemo-wita:

tam pójdiesz, gdzie ognie świecą

od chat, gdzie serca tłuką się w pier-
siach bez doli swojej szczęśliwej.

Wtedy spojrział Ziemowit na błyski
dalekie światła, gdy ona tak mówiła:

— pójdziesz do serc przemówić,
zanieziesz dobrą nowinę ludziom,

— będziesz powiadał im o znoju dla
miłości, jako jeden jest człowiek.

— Ale trudu i uznojenia zaznasz,
cierpienia i męki doznasz i pragnął
będziesz i łaknął na drodze twojej
i zwątpi wiara twoja i pochyli się
dusza twoja w upragnieniu.

— Ale nie będziesz mówił o smut-
ku twoim i żalu, jako ten łabędź
konający, wstaniesz po łzach i podasz
ton melodji twojej nowej, na nowe
dni, na nowy czas, na gody i radość
wielką, które być muszą na końcu
drogi człowieka.

— I dam ci mocy twojej znak, byś
zasię niewolnikiem nie był.

A wtedy rzekła jeszcze:

— Szliśmy do miejsca tego, albowiem przeszłość mieszka na niem, i chodzi wieść, że skarby tu ukryto, a to jest miecz obosieczny i wiadomem mi jest miejsce schowania jego.

I powiedziawszy to odeszła; wtedy Ziemowit dostrzegł był ognisko przygasłe na ziemi, w którym ziemniaki popierwej chłopcy piekli i dołożył chróstu, który leżał obok, że rozpalilo się płomieniem, a wtedy usiadł i w ogień patrzył.

I widział z za ognia, że nieznana jego podała się w dół ku fosie i tylko jasność blada mówiła mu o miejscu stania jej.

Kiedy wróciła, miała z sobą miecz o głowni złotej i dała go młodzieńcowi i rzekła:

Zostaw tu szatę swoją białą, a pancerz, któryś zadział pod nią, niechaj

ci pierś ozdobi, a miecz będzie w ręce twojej.

I uczynił Ziemowit, jako murzekła, wyciągnął ręce po miecz i poczuł moc od niego i radość.

I zrzucił z siebie szatę swoją białą. Palily się nad nim gwiazdy na niebie, a on był stał w łunie ogniska na górze i nową krasą jaśniał.

Pancerz jego dostał nowych lśnień i świecił sobą po nocy.

Stał przemieniony Ziemowit obok nieznaney swojej i widnieli oboje w świetle i łunach na górze tej.

A kiedy północ przełamala się nad ziemią, stało się przemienienie wielkie:

uniosła się nad ziemią dziewica i zapłonęła światłem wielkiem,

a Ziemowitowi pękła jasność nad głową, aż pochylił czoło swoje ku ziemi.

a potem widział, kiedy podniósł
oczy, że tysiące duchów usługiwało
tej, która odeszła do gwiazd,

i uczył, że mu serce bije, jak u czło-
wieka.

A gdy rozbrzastało świtem, ujął
miecz swój i zstąpił z góry i poszedł
pomiędzy ludzi.

NAD ACHERONEM

WYDZIAŁ FIZYKI

I.

Odziało ich ciemnością potrójną,
owiało zimnem i ciszą, gdy za
wskazaniem Ajasowem przeszli przez
próg rozkopanej mogiły i weszli do
Hadesu.

I uczuli trwogę i doznali niepew-
ności i stali ciżbą skupieni, gdy Ajas
wzrok wyteżał, czy aby światła nie
ujrzy.

Ale noc gęstwą nieprzebraną osia-
dła im na oczach.

I była cisza taka, jakby w mogile,
na tych samotnych szlakach śmierci.

Ani jednego błysku, ani jednego
głosu, ni szumu, ni szelestu, ani też
szmeru jakiego nie było.

Kłębił się mrok i przesuwała się
cisza zwolna, jakby ich przygnieść
miała i wcisnąć do wnętrza ziemi.

Która była wilgotna pod ich sto-

pami i nierówna, jakby usiana ty-
siącem wyży mogilnych.

Jakoż szli w trudzie wielkim i bez
pośpiechu.

A gdy przemogli w sobie lęk, który
ich owiał zrazu, rozbłysnęły im świa-
tła nad głowami, to temu, to owemu,
który pierwszy odwagę i spokój
w sobie odzyskał.

I przybywało ogni tych migotli-
wych coraz, aż rozbłysnęli wszyscy,
którzy tam byli.

A wtedy poszli ku brzegom Styksu.

II.

Noc im zasłony położyła na twa-
rze, a ciche stąpania ich były jak
szelest skrzydeł nietoperzowych.

Pusto było na drogach ich i niko-
go nie spotykali po drodze.

Wtedy wątpić zaczęli w sobie,
a którzy wątpili, tym światła gasły
nad głową.

Tylko Ajas jaśniał sobą i tarczą Achillesa.

I nie czuli, aby miał płynąć czas nad nimi, pośrodku mroków i ciszy.

I ubywało im światła coraz w wątpieniu i niepewności ich.

III.

A kiedy przyszli nad brzeg Styksowy, nie widzieli rzeki tej, chociaż pluskanie wód słyszeli.

Wtedy stanął nad wodą Ajas i uderzyła w nią smuga światła od postaci jego.

I wezbrała otucha w nich, aż rozplonęła rzesza światłami swemi.

Gdy oto w ciszy wielkiej, pośród szemrania wód usłyszeli jakoby szelest skrzydeł wielu nietoperzowych i cichy pobrzęk strun harfianych.

A był to pierwszy głos, który usłyszeli w podziemiu.

I zobaczyli cienie blade o nikłym świetle, idące im naprzeciw.

I przystanęli i zatrzymali się nawzajem.

IV.

Wtedy odezwał się był Ajas, mówiąc: kto zacz jesteście, pierwsi tu napotkani przez nas?

I rzekł cień jeden, odpowiadając, Ajasowi:

— Znam cię, Telamoński Ajasio i widzę, żeś tarcz Achillesa dostał, która ci duszę złamała i zmogła.

— A ja zaś jestem Helenos, syn Pryama, a brat boskiego Hektora, który kapłanem byłem i wróżem, jednym ze sług Loksyjasza.

— Jam to obwieścił bratu mojemu wolę Ateny i Zdalacelnego, by wyzwał którego z Danajów.

— I potem Hektor zwarł się z tobą

do nocy samej o smugach na niebie czerwonych.

— A teraz idziemy nad Styksu brzegami, byśmy na wierzby trafili nadbrzeżne i powieszalinalich harfy nasze.

— Albowiem odeszli bogowie ku rzecze Zapomnienia i tylko Hermes został, by wodzii rzesze ostatnie nad Flagetonu wodami.

— I niepotrzebne już nam harfy nasze.

Kiedy Helenos wyrzekł swoje, nateczas chórem ozwała się rzesza jego:

— Nad rzekami Hadesu siedzieliśmy i płakali, dni one wspominając dawne, w których za pieśnią chodziły rzesze.

— Kiedy Amfionowej lutni głazy były posłuszne, choć sam on umarł pobok Nioby.

-- Gdy Orfeowej lutni syreny nie

przemogły śpiewem i nie brakło nikogo na karabiu Jazona.

— Inie przepomnimy pieśni naszej, aż w głębi wód utoniemy letejskich.

— Bo nie śpiewać nam teraz, kiedy Hermes rzesze prowadzi.

Wtedy odezwał się Ajas, smutny na słowa te:

— Idźcie ku wodzie zapomnienia, lecz to wam powiem, byście, miast harfy i lutnie wasze po drogach miotać mieli, tej oto rzeszy je przekazali; wtedy pieśń nowa po strunach waszych przechadzać się będzie, jako że bez pieśni być nie może.

I przemówił Helenos do Ajasa i rzekł: damy wam naczynia pieśni o złotych strunach i wybierzcie z pośrodku was, których palce chodzić umieją po lutniach i harfach, a dusze których pieśń zrozumiały, by szli przed wami i grali, gdy ciemność

wam spocznie na oczach, lub cichość przytłoczy ciężarem lub trwoga wam serca roztrzęsie, niby to w boru li-stowie.

Atoli wtenczas tylko moc się ode-zwie z tych naczyń, kiedy grający na nich, dla innych grać będą w trwo-dze o innych miłosnej, aby im serca nie słabły, by im się dusze nie chyliły.

v.

I wzięli od nich naczynia pieśni, a wzięwszy, poszli w drogę swoją nad Styksem.

I widział Ajas, co czynić mu na-leżało: wysunął harfiarzy i lutnistów i kazał im rzesze prowadzić.

I przyszli na miejsce jedno, gdzie Styks rozlewał się wodami swemi.

Wtedy rozkazał Ajas mocniej ude-rzyć w struny, by wydały pieśń na-dziei z siebie.

I rozdzwoniły się harfy i lutnie w hymnie swoim; wtedy na skrzydłach hymnu tego przeszli ponad wodami Styksu na brzeg przeciwny, i odbijały ognie ich w rozlanej wodzie.

VI.

Milczały teraz harfy i lutnie i tylko rzesza z szelestem, jakoby od skrzydeł, posuwała się dalej od wód Styksowych.

I rzedniały nad nią mroki, chociaż bez świtu przebłysków nijakich.

Zaczasem jęki jakoweś doszły do nich, jakoby to ludzie jęczeli: usłyszeli też wód szumienie złowrogie.

Wtedy rozkazał Ajas bić uderzeniem mocnem w struny, aźby te jęki zgłuszyły.

A byli już nad Kocytem.

VII.

Wtedy światła nad głowami ich chociaż nie gaśły całkiem, ale świeciły nikło w półtrwodze i półniepewności.

I poruszały się niespokojnie, jak drżały dusze ich, niby to liście w boru.

I nie dostrzegli harfiarze, że jęk wydały struny do wtóru wodom rzeki tej.

VIII.

Stało się zczasem, że dostrzegli cień jeden samotny, snujący się nad Kocytem.

Wtedy zbliżył się Ajas do cienia tego i spytał, kto jest w samotności swojej i jęku.

A był to cień niewiasty, która rzekła:

— niema dla mnie imienia w nie-

szczęściu mojem. Medeę macie przed sobą, miłości ofiarę.

I rzekł był Ajas:

— Medeo nieszczęśliwa, córko Aetesa króla. Znam ja nieszczęście twoje, wiem o wyprawie Jazona, w której był ojciec mój.

— kiedy z Iolkos ruszali, losy rzucałi o miejsca na korabiu.

— I wypadł Tyfis sternikiem, który zachorzał i umarł czasu wyprawy tej; na przedzie zasiadł Herakles, z tyłu Peleusz, rodzic Achilla i ojciec mój, Telamon; pośrodku Kastor i Poluks, Zeusa synowie; także Neleusz, ojciec Nestora, który był z nami pod Ilium, w leciach już będąc sędziwych; toż Meleager i Admetus; także Orfeusz, pieśniarz boski; także Manocjusz, rodzic Partrokla; także Tezeusz i Hylos; toż Eufemos, toż Oileos, rodzic młodszego Ajasa —

drogi dla wszystkich patrzył Linceusz,
o wzroku dalekim.

— I ojca mojego pamiętasz, jak
przyszedł z Jazonem do króla, a byki
dwa wstępu broniły,

— co były ze spiżu, Hefaista sa-
mego roboty i ogniem ziajały.

To rzekłszy, dalej mówił:

— o nieszczęśliwa Medeo, miłość
jest mocną, jak śmierć, jak grób
przepastną.

— oddasz w miłości wszystko te-
mu, którego serce umiłuje;

— miłość jest ptakiem, który od
piersi do piersi lata i przytulenia
mu potrzeba

— miłość jest ogniem, który pło-
nie i wspomóżenie mieć musi.

— Jakoż, Medeo nieszczęśliwa,
niema w tem winy Jazona, że inną
upodobał, gdy róże wieńca; twego
zbladły

— miłość jest kwiatem, który wię-
dnie

— i winy w tem niema niczyjej,
gdy kwiecie zwiedniało i zbladło,
że się je miota za okno.

— bo miłość jest, gdy jest, a niema,
gdy jej niema, rozumem sercu jej
nie doda.

A wtedy rzekła Medea:

— Żałosne są słowa twoje, jako
ten śpiew łabędzia i powiem ci, że
w błędzie jesteś:

— miłość, gdy raz jest w tobie,
a już cię nie opuści,

— i nie jest jako śmierć, bo za-
pomnienia nie zna,

— i nie pozwoli na szczęście nowe,
bo wróci z twarzą Erynji.

Wtedy rzekł Ajas do Medei:

— o nieszczęśliwa, a wszekże mi-
łość, która położy się progiem po-
między dwojgiem, męką jest.

Ale przerwała mu natenczas Medea, która rzekła:

— atoli w czasie posuwa się człowiek i gdy mu dano raz szczęście miłości, już mu nie sięgać po nowe, albowiem pójdzie przez krew serdeczną i krzywdę, która nienawiść spotka na drodze swojej, dla której nienawiści sama siebie wyrzeknie się miłość.

— I tak, jam synów zabiła trzech, albowiem zemsta była w sercu mem, aż wbiłam nóż w trzy serca te niewinne.

Wtedy rzekł Ajas do Medei:

— I dałać tobie spokój zemsta twoja i uciszyło się w tobie serce matki po zabiciu synów?

Odpowiadając, rzekła doń Medea:

— Jękiem oddycha mi pierś, jękiem bije mi serce i cała sobą jęku własnego słucham i zapomnieć nie

mogę o krwi, krwi dzieci moich,
niewinnych synów moich,

— i szczęścia zapomnieć nie mogę,
że byłam szczęśliwa, a to się szczę-
ście rozbiło, gdy wieniec krasy mej
zbladł.

I rzekł był Ajas natenczas:

— Medeo nieszczęśliwa, a wszak-
że nie poradzisz temu, by krasa lic
nie rodziła miłości.

— Błogosławieni są ci, którym
w życiu kwiat jeden miłości zakwit-
nie.

— Lecz skoro chęć szczęścia no-
wego się zrodzi, nie winą to bywa
człowieka, ale cierpieniem.

— Wysłuchaj przeto, Medeo skrzy-
dlatych moich słów: jest miłość, któ-
ra ma serca dwa, która od piersi do
piersi przelata i szeptem przemawia
miłosnym i wieniec różany zaplata.

— ale jest miłość, której tysiąca

trzeba serc i piersi tysiąc, by latać
do nich ze swoim darem krwi, ze
swoim znojem,

— jest miłość, której nie trzeba róż,
ale niedoli i łez, by zaś otarła łzy, by
pomniejszyła niedolę, by nasyciła
głód, by zapełniła nędzę,

— jest miłość, której nie trzeba
ciszy, gdy naprzód idzie w promie-
niach krwi i łunach pożaru,

— która nie wiedzie do snów, ale
na rozmach i moc, i nie szaleje mi-
łością, choć Atalanty ma oblicze

A wtedy rzekła Medea:

— Zdolną jest miłość do szału nie
tylko wśród szeptów i śnień; i matki
też sercem zatarga, że rękę podnie-
sie na syna, i ogień zje głównię
Altei.

A wtedy znów Ajas rzekł:

— Tak, zdolną jest miłość do szału
i świętym jest szal ów miłości, co

śmierć nawet niesie wrozkazie, tylko, i
Medeo, zważ treść moich słów.

IX.

Wtedy rozkazał Ajas wyjść lut-
nistom i harfiarzom przed rzeszę
i grać.

Więc uderzyli w struny cicho zra-
zu i nieuchwytnie, jakby szeptania
miłosne mówili.

I całowali pieśnią struny, że roz-
marzyły się harfy i lutnie.

Zaczasem roz tęskniły się naczynia
ich tęsknotą wielką i drżały prośbą
aż odezwały się jękiem złowróźbnym.

Który jęk rozdzierał serca i krzy-
czał, nakoniec przyłgnął w wyczer-
paniu do strun i zamarł.

I widzieli, że Medea w obłoku
pieśni tej stała żalem owiana i smut-
kiem.

Wtedy rozzwoniły się harfy no-

wą melodją pieśni, w której była
wszechmiłość i wszechdobro.

I stały w hymnie swoim, trzymane
na wysokości dusz grających,
w umiłowaniu bez dna i bez granic,
w obłoku poświęcenia.

Wtedy Medea, wysłuchawszy pieśni
tej, przyłączyła się do rzeszy
i poszła z nią.

x.

I trzeba im było przejść przez
wody Kocytu, by stanąć mogli nad
Acheronu wodami.

Ale nie chciał Ajas męczyć więcej
harf i lir, więc poszukali brodu i przeszli
na drugi brzeg.

Gdy fale Kocytu uderzały im o go-
lenie z jękiem, który odbijał się
o sklepienia mroku.

Który mrok stał się o barwie czer-
wonej nieco, jakby zmieszany był
z krwią.

XI.

Szli potem, mając się od brzegów Kocytu, aż napotkali wąwóz i pograżyli się w ciemnościach jego i wyciągnęli się w długi sznur.

I widać było w mroku zrzedzonym płomienie nad ich głowami, jak poruszały się i drżały, gdy oni szli.

A szli pośrodku skał wysokich i słyszeli poszum skrzydeł nietoperzy, gdy odrywały się od skał, zdziwione mnogością światła.

I widzieli na końcu wąwozu zorzę światła nikłego, wtedy poznali, że tam był Acheron.

Zaczasem przeszli wąwóz i zobaczyli przestrzeń równą od skał do rzeki, która była rozlana i błotnista, o wielu wyspach namulnych.

I ujrzeli nad brzegiem dwa cienie ludzkie siedzące, od których biło światłem.

I usłyszeli rozmowę ich i rozpoznali w nich proroków Izajasza i Jeremiasza.

XII.

I rzekł Izajasz słowami proroctwa swego.

— Biada narodowi grzesznemu, ludowi nieprawością obciążonemu, nasieniu złemu, synom złośliwym; opuścili Pana, bluźnili świętych jego, odwrócili się wstecz.

— Jakże was karać więcej, którzy przyczyniacie przestępstwa, gdy każda głowa chora, a każde serce żałosne?

A wtedy rzekł Jeremiasz słowami proroctwa swego:

— Kto mi da na puszczy gospodę podróżników i opuszczę lud mój i odejdę od nich, bo wszyscy są cudzołożnicy, zbór przestępników.

— Nad górami wezmę płacz i lament i nad pięknymi puszczej narzekanie, bo spalone są dlatego, że nie masz męża przechodzącego; i nie słyszeli głosu dzierżawce; od ptastwa powietrznego, aż do bydła przenieśli się i odeszli.

— Kto jest mąż mądry, któryby to wyrozumiał i do którego było słowo ust pańskich, aby to opowiadał, dlaczego zginęła ziemia i spalona jest jako pustynia, dlatego, że nie masz ktoby przechodził.

XIII.

I stało się, że rozkazał Ajas grać na harfach i lutniach, aby w obłoku pieśni podeszli do proroków smętnych nad brzegiem Acheronu.

I grali i posuwali się w pochodzie swoim, a za nimi rzesza cała, pomykająca ogniami wśród ciemni powszechnej.

I nie przestali grać, gdy zatrzymali się nieopodal, a wtedy Izajasz mówił dalej i rzekł:

— Od stopy nogi, aż do wierzchu głowy nie masz w nich zdrowia; rana i siność i spuchły raz nie jest zawiązany, ani lekarstwem opatrzony, ani oliwą zmiękczoney.

— I będzie moc wasza jako perz z grzebi, a dzieło wasze jako iskra i zapali się oboje pospołu, a nie będzie ktoby zagasił.

XIV.

I posmutniały im harfy i lutnie na słowa Izajasza, ale nie przestawały grać w żałości wielkiej.

Natenczas rzekł Jeremiasz:

— oto nakarmię lud piolunem i napoję go wodą żółci i rozproszę go między narody, których nie znali

sami i ojcowie ich, a poszłę za nimi miecz, aż będą wytraceni.

— Przyzówcie narzekalnic i niech przyjdą, niech się pokwapią a uczynią lament, niech wylewają oczy łzy, jakośmy zburzeni i zawstydzeni bardzo.

XV.

Wtedy umilknął prorok, harfy tylko jęczały rozgłośnie.

I siedzieli prorocy nad brzegiem Acheronu w osmętnieniu wielkim, w zasłuchaniu i bezruchu, gdy wiało na nich smutkiem od pieśni.

I przecierały się coraz i rzedyły mroki, jakby Hekate wyszła i przechadzała się nad brzegami wody.

Wtedy wydały harfy z siebie głos nieznany w godzinie smutku i utra-pienia i same z siebie rozpały się zorzą w graniu swoim.

I powstał wiatr szeroki, który oderwał się od naczyń pieśni i uderzył w oblicza rzeszy, aż poruszyły się ognie nad głowami.

I czuli wszyscy, jako Izajasz nowem odezwie się słowem, a on powstał i rzekł:

— I będzie w ostateczne dni przygotowana góra domu pańskiego na wierzchu gór i wywyższy się nad pagórki, a popłyną do niej wszyscy narodowie.

— Pójdą też wiele ludzi i rzekną: chodźmy, wstąpmy na górę pańską, a nauczycy nas dróg swoich i będziemy chodzić ścieżkami jego.

— I będzie sądził narody, będzie strofował ludzi wiele i przekują miecze swe na lemieszce, a włócznie swe na sierpy; nie podniesie miecza naród przeciw narodowi, ani się będą więcej ćwiczyć ku bitwie.

Stalo się natenczas, że rozdźwięczały się harfy miłością wielką, w której zbliżył się do proroków Ajas i rzekł:

— Niech się tak stanie, niech się stanie jako mówisz, a jużby nadszedł czas ów i godzina, w których miłość pochylili się nad człowiekiem i pić mu poda w upragnieniu jego.

A wtedy rzekł Izajasz, syn Amosa:

— Ale miłość, o której mówisz, ciernie ma na drogach swoich i udręczenie wielkie, aż gardło schnie w posusze, aż serce boli, aż dusza się rwie.

— Miłość ma gorzkość w sobie, gdy zaklina i woła, a oto chytre woły umykają się jarzma swego, w zapatrzeniu się w zło i ziemię.

— Wtedy w miłości nienawiść żywie i grom dla swego pokolenia, dla swojej krwi, aż przeklinaniem

kończy i wróżbą zaguby, której zapragnie dla ukarania.

— A wtedy rzesza wroga piłą cię przerznie, jak mnie za króla Manassesa i pogrzebie pod dębem Rogelowym albo kamieńmi utłucze, jak tego tu Jeremiasza.

I rzekł był Ajas natenczas:

— Mówisz mi, Izajaszu, że w miłości jest gorycz i przeklinanie, a wszakoż miłość żywie i jest, a nie może bez nienawiści być?

I rzekł Izajasz:

— Błogosławioną jest ona nienawiść w miłości, błogosławionym jest on krzyk duszy, jako macierzy na widok dzieci przed otchłanią bez dna.

— Ale dla tego, który miłuje, gorzkiem jest zaprzeczenie, którem mu od życia wieje, od własnej krwi.

— Jakoż niepokoi się miłość i jest bez ciszy i snu, gdy szczerze umiłuje.

— Zaprawdę, zaprawdę, że miłość jest brakiem snu i trawi miłośnika, gdy innym czyni dobrze, lecz wtedy jest miłością, kiedy miłośnik w wiedzy swojej o niepokoju niepokój weźmie do duszy i przedsię umiłuje.

— Zaś umiłuje nie tylko dziecko swoje, własną krew, ale okręgiem zatoczy i zbierze łzy, jak rosę, wysłucha żalu, by łez nie było, by przebrzmiał żal.

— Wtedy rzekł Ajas:

— Cierpieniem tedy jest miłość, które zmaga człowieka, jak i mnie zmogło, że niczem mi były łzy Tekmessy i widok dziecka mojego.

— I odpowiedział mu Izajasz:

— Cierpienie idzie pobok miłości, gdy ona weselem jest, i nie spocznie miłość, aż szczęście swoje znaj-

dzie, chociażby w szacie z łez i krwi.

— I tu jest trud miłosny, tu jest bitewny żar, tu jest zmaganie się i moc w niewiedzy o sobie miłosnej.

— Ale ty nie wiesz jeszcze, że umierając, niewiedzieć można o sobie, lecz przyjdzie na cię godzina, w której się dowiesz.

— Albowiem za temi wodami Hermes tam wodzi rzesze, które przywykły do ciemności.

— I napotkasz go i uderzy cię mnogością dusz, które idą za nim.

— A wtedy miłość wielka będzie w sercu twojem.

XVI.

Wtedy odeszli Izajasz i Jeremiasz, gdy Ajas zwrócił się do rzeszy.

Która przysiadła nad brzegami

rzeki, to tam, to sam pomykając ogniami.

A teraz wstała na rozkazanie Ajasowe, a już ozwały się harfy.

Jakoż przeszli przez błota przy odgłosie strun rozedrganych.

Gdy mroki rzedniały coraz, jakby o świcie dnia, który będzie bez słońca, ciemny i chmurny.

I widzieli w mroku szarżawym błonie rozległe, a na niem pusty już tron Hadesa i Persefony, więc przystanęli w zamyśleniu.

A potem poszli w drogę swoją i zeszli do Tartaru.

Mroka tu była nieprzejednana i tylko światłem swoim, do wielu gwiazd podobnem, rozrzedzali ciemności.

A pusto było w Tartarze, gdzie widzieli kamień Syzyfa i koło Iksyjona.

Zaś na samej głębi Tartaru rozedrgały się im harfy pieśnią o męce ludzkiej, która jest równowagą zła, w czem sprawiedliwości bywa za-
dość.

Wtedy ujrzeli nad sobą tysiące gwiazd, z których śpiewała każda o narodzeniu się Boga,
jako truchlała moc, a Nieskończony miał granice.

I podali wtór tej pieśni na harfach i lutniach, a rzesza przyłączyła się chórem, że była pieśń na samych głębiach ziemi i na wysokościach.

Wtedy na skrzydłach pieśni tej, która zrodziła wichur, wypłynęli ku górze.

A potem szli, by zasię spotkać Hermesa.

XVII.

Po długiem wędrowaniu dostrze-

gli łunę, jak darła się przez mroki i zbliżała ku nim.

Były to wody Flagetonu ogniste, od których jasność biła ponocna.

I przyszli i stanęli nad niemi, a wtedy przemówił Ajas:

— czekać będziemy tu, aż Hermes przyjdzie i nie spełniłoby się przeznaczenie moje, gdybyśmy teraz ku Lecie odeszli.

Wtedy ujrzeli cieniów tysiące białych, idące ku nim, a Hermes był na przedzie.

I ustawił Ajas rzeszę swoją i czekali tak na Hermesa.

XVIII.

Gdy przyszedł z rzeszą swoją Hermes, ta odezwała się chórem:

— Bądź uwielbiony, synu Mai, który nas wodzisz w mnogości nieprze-

liczonej, którzy przywykliśmy do ciemności.

— Bądź uwielbiony, jako że w niewiedzy naszej żyjemy obecną godziną.

— Która zrodziła się pośrodku nocy i dnia swojego nie czeka.

Była radość w głosie tym, Hermesa wielbiącym i on też słuchał rad wolań tego.

Poczem stanął pośrodku rzeszy swojej i podchodzili doń, by im za usługi wypłacił.

Dawał im Hermes obole, któremi wkupili się do otchłani, z wyliczeniem procentów od dnia zejścia ich.

Wtedy podszedł Ajas do harfiarzy swych i grać im kazał.

I odezwał się był Hermes i rzekł:
— zgaście pieśń waszą, uciszcie struny wasze, albowiem rzesza moja nie wie, co to pieśń.

Wtedy rzekł Ajas o jaśniejącem obliczu:

— pokłon tobie, Hermesie, przewodniku umarłych. Zaprawdę, nie zgasić tobie łuny pieśni mojej, która za krańce godzin wybiega.

— I to wam mówię, pójdźcie za mną, a godzina się wasza rozdłuży i rozdałi,

— ujrzycie światło bez zmierzchowych cieniów

— i nie spotkacie śmierci na drogach waszych.

Wtedy rzekł Hermes do Ajasa:

— Niczem są hymny twoje, albowiem godzina moja wchłonęła wieczność twoją i światło.

Wtedy rzesza Hermesa ozwała się chórem:

— Nie chcemy tęsknoty do dnia, by się rozdłużyć miała godzina nasza.

Ale harfy Ajasa jęczały rozgłośnie i uderzyły w nich wołaniem.

Wtedy Hermes stanął był przed rzeszą swoją i rozkazał jej przejść przez grających harfiarzy, by zmaćić im pieśń i zwichrzyć.

Gdy Ajas stanął przed nimi i zasłonił ich tarczą Achillesa.

Więc zawichrzyło się od duchów, gdy i rzesza Ajasa stanęła za wodzem swym i słychać było szum jakoby tysiąca skrzydeł.

A potem cisza nastąpiła wielka, albowiem Hermes przeszedł ze swoimi przez rzeszę Ajasa.

Gdy Ajas leżał na ziemi ugodzony mocą Hermesa i poczuł konanie w sobie, jakby się w rzece zapomnienia grążył.

Zaś Hermes i rzesza jego oddalili się drogą swoją.

XIX.

I konał Ajas w sobie i poczuł trwożę wielką, czy aby z rzeszy jego nikogo nie brakło, by zasię doszli, gdzie było im wieszczono.

Gdy rzesza w niewiedzy o sobie twożną była o życie Ajasa, jakoż nie brakło z niej nikogo.

I stało się zadość powiedzeniu anioła, aby jedni o drugich myśleli.

Gdy konający Ajas czuł miłość wielką i żal dla rzeszy, którą prowadził, że nie powiedzie jej do końca,

a rzesza jego czuła miłość wielką i żal dla wodza, który umierał, że nie on ją powiedzie

i nie myślała o sobie, jak wyjdzie teraz z ciemności, cała w kochaniu będąc i smutku dla Ajasa.

I odezwały się harfy i lutnie nad

konającym, który słuchał pieśni ich przesmutnej.

A wtem ucichły naczynia, mocą wyższą do zamilknięcia zmuszone.

I pobiegła rzesza wzrokiem swoim nad wody Flagetonu, od których jasność biła, jakby wschodziło słońce.

Albowiem szedł nad wodami Chrystus bielejący, które gasły pod stopami jego, gdy zapalały się ciemności nad nim.

I uklęka rzesza w zachwyceniu wielkiem.

Wtedy powstał Ajas mocny na widok Boga i przyłączył się do rzeszy w zachwyceniu jej.

I poczuła rzesza, iż była miłością samą, jakoż wstała i poszła za Nim i przeszła przez wody ogniste.

Natenczas zgasła jasność, gdy rzesza dalej poszła ku Rzece Zapomnienia.

XX.

Brnęli teraz wśród bagna, z którego szły wonie złe.

A wszakoż pełni byli wesela i nie spoczęli, aż przyszedli do wód letejskich.

I rozkazał Ajas grać na harfach i lutniach pieśń cudowną o zapatrzeniu się w Boga.

I opuścili stopy swoje do wody, która nie miała się pamięci ich.

I przeszli tak i ujrzeli za wodą światło dziwne, aczkolwiek bez gwiazd i słońca;

jaśniały im przed oczyma smugi złote, które pośrodku ciemni kurzem się zdały o słońca zachodzie.

I było widniej coraz i bladły im światła nad głowami, gdy sami jaśnieć zaczęli cudownie.

I szli w radości wielkiej, śpiewając

i grając, ku onym smugom światła,
które łamały się z resztkami nocy.

Aż przystanęli u wrót Hadesu.

XXI.

Wtedy Ajas sprawił rzeszę swoją
i kazał grać ponownie na harfach
i lutniach.

Szli za przewodem pieśni i brała
ich słoneczność wielka.

I wyszli przejściem wązkim na
podobieństwo tego przy rozkopa-
nej mogile Ziemowita, na błonie
rozległe i zatrzymali się w radości
wielkiej.

I uderzyło w nich światłem, które
prześwietlało wszystko.

I ujrzeli mnogość ludu w niezli-
czoności jego, który stał półkolem
około wzgórza pośrodku błonia.

I pełno było światła o zielonem

odcieniu i promienieli niem wszyscy,
ludzie i ziemia, drzewa i trawy.

A pośrodku błonia na wzgórzu
tem siedziało apostołów dwunastu,
jak ongiś w wieczorniku.

I uczuła rzesza Ajasa, że dostała
ludzkich ciał i ludzkich serc, które
biły im w piersiach.

I usłyszeli pieśń zebranych mnóstwa
ludzi i przyłączyli się do pieśni
w graniu i w śpiewie swoim.

A była radość w pieśni tej i uko-
chanie wielkie,

była miłość i nachylenie się wza-
jemne ku sobie,

było widzenie bez końca Boga
pośrodku siebie,

który między ludami zamieszkał.

I słyszeli słowa pieśni tej:

że nie będzie już chorób ani śmierci,
ani zła wszelakiego, ani utrapie-
nia i smutku, gdyż pochyliły się

serca ku sobie w umiłowaniu i dobrej woli.

Zaczasem poznał Ajas i rzesza jego, że miejsce to było na ziemi, nie zaś pośrodku gwiazd na niebie, a wtedy uwielbili miłość, która przemienia człowieka i ziemię.

101	102	103
104	105	106
107	108	109
110	111	112
113	114	115



ERRATA.

<i>Str.</i>	<i>nap:</i>	<i>ma być:</i>
39	Afene	Atene
40	Afyde	Atrydę
53	gdys	gdy-ć
54	kazde	każde

**INSTYTUT
BADAŃ FILOLOGICZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-270 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F

1570